

Powiat



Nr 1-2 (203-204), Styczeń-Luty 2018
Rok XVIII * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

facebook.com/morskipowiatslupski

Dobry rok
Jest lepiej, ale może być znowu gorzej
Słupskie zielone płuca

Grenlandia, mój drugi dom

Współczesna wieś bez kultury

Rok 1968

Osiąga w swoich pracach najwyższy kunszt
Łupawa, moja miłość

Wieś Tworząca

OTWARCIE ODDZIAŁU
GINEKOLOGICZNO-
POŁOŻNICZEGO
ORAZ NEONATOLOGICZNEGO
W WOJEWÓDZKIM SZPITALU
SPECJALISTYCZNYM
IM. JANUSZA KORCZAKA

SŁUPSK, STYCZEŃ 2018





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

31 stycznia br. weszła w życie ustawa zwiększająca udział obywateli w procesie wybierania, funkcjonowania i kontrolowania niektórych organów publicznych. Znowelizowała pięć ważnych z punktu widzenia samorządów ustaw: o samorządzie gminnym, powiatowym, wojewódzkim, ustawę o petycjach oraz Kodeks wyborczy. Jest to największa nowelizacja prawa samorządowego od 2002 roku, kiedy w miastach i gminach zlikwidowano zarządy, wprowadzając jednoosobowe organy wykonawcze, wylaniane w wyborach powszechnych.

Nie będę komentował przepisów dotyczących przeprowadzania wyborów. Dyskusja publiczna dotyczyła właśnie ich. W wprowadzenie istotnych zmian w administracji wyborczej na mniej niż rok przed wyborami, daje wiele do myślenia. Podobnie jak zmiana systemu wyborczego z sędziowskiego na partyjno-rządowy.

Jako samorządowiec z wieloletnim doświadczeniem z uwagą przeanalizowałem te zmiany, o których mniej się mówi - dotyczące tak poważnych kwestii, jak funkcjonowanie rad, relacji pomiędzy organem stanowiącym i wykonawczym, czy relacji samorząd - mieszkańcy.

Obok zmian rozsądnych i oczekiwanych, dotyczących zwiększenia jawności pracy samorządu i wpływu mieszkańców na jego działania (imiennie głosowania radnych, obowiązkowa transmisja obrad rady, ustawowe przyznanie inicjatywy uchwałodawczej mieszkańcom), pojawiły się też rozwią-

zania wątpliwe. Za takie uważam wprowadzenie dwukadencyjności wójtów, burmistrzów i prezydentów. Obawiam się, że to nie wyeliminuje problemu tworzenia się różnych „układów” w samorządach, przyczyni się do szeregu jeszcze innych patologii.

Wszystkie te, a także inne jeszcze zmiany zaczną obowiązywać od przyszłej kadencji, która będzie trwać już nie cztery, a pięć lat! Szkoda tylko, że zostały wprowadzone one w pośpiechu, bez należytej analizy i dyskusji.

Wszystkie te, a także inne jeszcze zmiany zaczną obowiązywać od przyszłej kadencji, która będzie trwać już nie cztery, a pięć lat! Szkoda tylko, że zostały wprowadzone one w pośpiechu, bez należytej analizy i dyskusji.

Wszystkie te, a także inne jeszcze zmiany zaczną obowiązywać od przyszłej kadencji, która będzie trwać już nie cztery, a pięć lat! Szkoda tylko, że zostały wprowadzone one w pośpiechu, bez należytej analizy i dyskusji.

W numerze:

- 2 Poródówka wróciła do Słupska
- 2 Ponownie w ścisłej czołówce
- 2 Wzorowa współpraca
- 3 Gratulacje dla służb
- 3 Punkt informacji i drogi
- 3 Rekordowe granie
- 4 Nagrodzeni w konkursie
- 4 Futsal w Uście
- 4 Najlepsi w sporcie
- 5 Wielkie śpiewanie
- 5 Góralski bal środowiskowy
- 5 Punkty rejestracji pojazdów
- 6 Umiesz liczyć, licz na siebie



Nowe twarze rządu, który postanowił tkwić przy „dobrej zmianie w interesie suwerena”, mają tylko polepszyć ogólny jego wizerunek, a przy okazji usprawnić logistycznie walkę z unijnymi „urzędnikami”.

- 8 List w sprawie nazistów
- 9 Dobry rok!

- 10 Jest lepiej, ale może być znowu gorzej



W związku z tym, że ustawy przygotowywane są chaotycznie, bez głębszej analizy, panuje nerwowa atmosfera w polityce, przedsiębiorcy tracą zaufanie do obecnej ekipy rządzącej.

- 13 Chcę kontynuować dalszy rozwój orkiestry

- 14 Słupskie zielone ptuła



Zielone ptuła miasta to nie tylko liczne parki, ale także ogrody działkowe, które już trwale wpisały się w słupski krajobraz.

- 16 Działkowcy to ludzie odpowiedzialni

- 18 Grenlandia, mój drugi dom



- Jestem najlepsza z najlepszych, najtwardsza z najtwardszych. Będę ciągnąć twoje sanie, choćby śnieg sięgał po brzuch, a huragan mroził nos.

- 22 Współczesna wieś bez kultury?...



Współczesnemu państwu „z powyłamywanymi zębami kapitalizmu” nie zależy na funkcjonowaniu bibliotek, bo... kultura jest produktem ubocznym.

- 25 Rok 1968



Minęło 50 lat od Marca. Staliśmy się mądrzejsi o kolejne doświadczenia, a może nam się tylko wydaje, że wiemy więcej i więcej ze świata rozumiemy.

- 28 Osiąga w swoich pracach najwyższy kunszt



- Z dużą przyjemnością wykonuję fotografie abstrakcyjne, ale w moich zainteresowaniach są też fotografie minimalistyczne.

- 32 O „Damnickich Betlejkach” i „teatrze dla życia”

- 34 Łupawa, moja miłość (3)



Dwór budowany był niespełna dwa lata, a otoczenie dworu

odtworzane było blisko 10 lat, ale by przywrócić zespołowi parkowemu jego dawne znaczenie i urodę potrzeba jeszcze wielu lat i sporo pieniędzy.

- 36 Opowieść o synach Bogustawa V Wielkiego



Warcisław VII zżęcznie lawirował między Zakonem a Polską, którzy przewyższali go siłą i bogactwem.

- 39 Gdy kupimy samochód z wadami



Jeśli chcemy skorzystać z przystępującego nam uprawnienia do odstąpienia od umowy to najlepszą formą będzie wystanie odpowiedniego oświadczenia.

Porodówka wróciła do Słupska

26 stycznia uroczystie otwarto Oddział Ginekologiczno-Położniczy oraz Neonatologiczny w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym im. Janusza Korczaka w Słupsku. Oznacza to, że dzieci po 16 latach przerwy będą znowu rodzić się w szpitalu w Słupsku.

W przeniesienie porodówki z Ustki do Słupska i oddziału neonatologicznego zainwestowano w sumie 10,7 mln złotych. W kwocie tej ujęta jest też zakupiona nowa aparatura. Aby inwestycja mogła być zrealizowana konieczna była przebudowa I piętra budynków A, E, C oraz przeniesienie oddziału otorynolaryngologicznego, poradni stomatologicznej na parter, poradni chirurgii dziecięcej z parteru na pierwsze piętro, a oddziału dermatologicznego ze Słupska do filii szpitala w Ustce.

Wszystkie prace remontowe trwały od marca 2016 roku

do grudnia 2017 roku. Były konieczne, aby poprawić opiekę nad pacjentkami bo - jak mówił podczas otwarcia przeniesionych z Ustki do Słupska oddziałów szpitalnych Mieczysław Struk, marszałek województwa pomorskiego - oddziały w Ustce nie były przygotowane do wszystkich porodów, zwłaszcza tych niebezpiecznych. Nie było tam ani banku krwi, ani sali operacyjnej.

Teraz zdecydowanie poprawi się bezpieczeństwo pacjentek. Oddziały do porodów są w strukturze szpitala specjalistycznego. Zostały wyposażone, będą miały dostęp do banku krwi i własną wysokospecjalistyczną salę operacyjną.

- Kiedy trzy lata temu podejmowałem pracę w Słupsku, rozpoczynałem ją z gorącym postanowieniem, że sprowadzę oddziały położniczo-ginekologiczny i neonatologiczny do Słupska. Obiecywałem to w pierwszych dniach pracy wszystkim mieszkańcom miasta. Wyzwanie,



Fot. SAS

które podjąłem, stało się teraz faktem - przypomniał swoje postanowienie Janusz Sapiński, prezes zarządu słupskiego szpitala. - Otwarcie porodówki w Słupsku to bardzo ważny dzień dla mieszkańek Słupska. To jest także szczególny dzień dla mnie jako szefa tej placówki.

Na przeniesionym oddziale położniczo-ginekologicznym są 54 miejsca, na neonatologicznym - 22. Oddziały zostały wyposażone m.in.: w aparaturę

KTG do ciąży pojedynczej i bliźniaczej wraz z telemetrią, kardiomonitor, pulsoksymetr, defibrylator, laktator, kolposkop, aparat USG oraz inkubator zamknięty. Wyposażenie to kosztowało 1,8 mln zł, 380 tysięcy przekazał marszałek województwa pomorskiego.

Pierwsze dzieci na świat przyszły w Słupsku 6 lutego, bo od tego dnia pacjentki były przyjmowane na nowym szpitalnym oddziale. (z)

Ponownie w ścisłej czołówce



Powiat Słupski zajął drugie miejsce w Ogólnopolskim Rankingu Gmin i Powiatów za 2017 rok w kategorii powiatów od 60 tys. do 120 tys. mieszkańców.

Ranking ten, prowadzony przez Związek Powiatów Polskich, oparty jest na zasadzie bezpłatnego i dobrowolnego uczestnictwa samorządów szczebla gminnego i powiatowego.

Samorządy oceniane są według 84 kryteriów w dziesięciu grupach tematycznych. Powiat słupski na tle innych powiatów wyróżnił się m.in. skutecznością w pozyskiwaniu środków finansowych z funduszy zewnętrz-

nych i krajowych, współpracą z organizacjami pozarządowymi, informatyzacją urzędu, programami profilaktycznymi z zakresu zdrowia, a także wspieraniem zdolnej i utalentowanej młodzieży. Wskazano również obszary, na które powinno się zwrócić większą uwagę, np. na tematyczne (sektorowe) strategie rozwoju.

W ubiegłorocznym rankingu powiat słupski zajął trzecie miejsce.

Zdaniem starosty słupskiego Zdzisława Kołodziejskiego drugie miejsce w rankingu to efekt pracy pracowników starostwa oraz powiatowych jednostek. - Choć osobiście nie przywiązuję dużej wagi do rankingów, to jednak ocena, której się poddajemy daje nam pewien obraz pracy, jaką wykonujemy - uważa starosta.

Ranking wygrał powiat jędrzejowski, uzyskując 58 103 punktów, powiat słupski uzyskał ich 53 445. (P.L.)



Fot. SAS

Wzorowa współpraca
XIV Bal Charytatywny, zorganizowany na rzecz mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Machowinku, przyniósł jego podopiecznym rekordową sumę - ponad 26 tys. złotych.

Dokładnie udało się zebrać kosztów - 26 tys. 228 zł i 33 gr. Bal odbył się 10 lutego. Licytowano m.in. dwa obrazy, rzeźbę i materiały promocyjne przekazane przez starostę słupskiego, za które łącznie uzyskano 1.600 zł. Voucher w Dolinie Charlotty przyniósł 1.200 zł. Natomiast za koszulkę z podpisami reprezentacji Polski w piłce nożnej zapłacono 1.100 zł. Za 700 zł wicestarosta

Rafał Konon stał się posiadaczem stroju Czarnych Słupsk.

Bal, który po raz trzynasty odbył się już w Dolinie Charlotty, jak zawsze przygotowali pracownicy Domu Pomocy Społecznej, a w specjalnym programie artystycznym dla gości zaprezentowali się mieszkańcy. Prowadził go tradycyjnie Arkadiusz Mięczewski, który też zapewnił oprawę muzyczną.

Wszyscy świetnie się bawili, a organizatorzy mieli okazję podziękować za współpracę licznym firmom, która w tym roku zaowocowała też m.in. kompletnym wyposażeniu pracowni ceramicznej - od firmy Scania ze Słupska. (DPS)

Gratulacje dla służb

25 stycznia br. starosta słupski Zdzisław Kotłodziński i wicestarosta Rafał Konon spotkali się z pracownikami Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku z okazji przypadającego 27 stycznia Dnia Pracownika Publicznych Służb Zatrudnienia.

Historia publicznych służb zatrudnienia sięga w Polsce początków minionego wieku, ale jeszcze do niedawna ich pracownicy, w przeciwieństwie do samorządowców, pracowników służby cywilnej czy służb socjalnych, nie mieli swojego święta. Sytuację tę zmieniła dopiero nowelizacja ustawy o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy z grudnia 2010 roku, w wyniku której dzień 27 stycznia został ustanowiony Dniem Pracownika Publicznych Służb Zatrudnienia. Ma on upamiętniać powstanie pierwszych instytucji zajmują-

cych się pośrednictwem pracy w odrodzonej Polsce, które powołał właśnie 27 stycznia 1919 roku Józef Piłsudski, podpisując dekret o organizacji urzędów pośrednictwa pracy.

Obecna praca służb zatrudnienia wykracza daleko poza tradycyjne rozumienie roli, jaką wypełniały one przez wiele lat, ale zadań nie brakuje. Współczesne urzędy pracy służą już nie tylko osobom bezrobotnym i poszukującym zatrudnienia, ale również przedsiębiorcom i ludziom młodym, dbającym o swój rozwój zawodowy. Starają się skutecznie odpowiadać na potrzeby i oczekiwania, z zaangażowaniem wdrażając nowe rozwiązania promujące zawodową aktywność.

W tym kontekście może cieszyć duża skuteczność Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku, którą potwierdza już - niski już wskaźnik bezrobocia i przyznawane urzędowi przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, obecnie - Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej środki na nagrody dla pracowników za wysoką skuteczność i

efektywność podejmowanych działań.

Podczas uroczystego spotkania listy gratulacyjne od starosty otrzymali: Angelika Kubina, Barbara Chomiszczak, Dominika Piasecka, Agnieszka Konewko, Magdalena Janicka-Rędzia, Iwona Mazurek, Halina Dołżycka, Joanna Ślusar, Andrzej Domagała, Piotr Świniarski i Paweł Kądziała - dyrektor PUP. (z)



Fot. SAS



Fot. Archiwum / J. Maziejuk

Punkt informacji i drogi

Na 39. sesji Rady Powiatu Słupskiego, zwołanej 30 stycznia powiatowi radni przegłosowali uchwałę o woli przystąpienia powiatu do realizacji projektu „Prowadzenie Punktu Informacji Europejskiej Europe Direct – Słupsk w latach 2018 – 2020”, dofinansowanego ze środków Unii Europejskiej.

Radni na sesji tej podjęli też uchwały o zawarciu umowy z gminą Kępice na I etap przebudowy drogi powiatowej nr 1157G Barcino - Łosino i z gminą Damnica na przebudowę mostu w Damnie w ciągu drogi powiatowej nr 1139G.

Dokonali również zmian w budżecie powiatu i Wieloletniej Prognozie Finansowej. (z.)

Rekordowe granie

Bardzo udany okazał się w powiecie słupskim 26. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Zebrano rekordowe kwoty.

Orkiestra zagrała 14 stycznia i tym razem celem akcji Jurka Owsiaaka było pozyskanie środków dla wyrównania szans w leczeniu noworodków.

Gminy powiatu słupskiego, które włączyły się w zbiórkę pobiły dotychczasowe rekordy. W gminie Słupsk zabrano - ponad 41,2 tys. zł, Potęgowo - 31 tys.

zł, Smołdzino - ponad 8,4 tys. zł. Rekord pobiła także Ustka, która przekazała na konto WOŚP prawie 70,3 tys. zł.

Orkiestra J. Owsiaaka grała także w innych gminach powiatu słupskiego. Oprócz złotych w puszkach wolontariuszy pojawiały się także datki w walucie obcej.

Zebrane pieniądze zostały przekazane do mBanku, który został nowym partnerem tej pożytecznej akcji. (CER)



Fot. Archiwum Cm. Potęgowo

Nagrodzeni w konkursie

W siedzibie starostwa podsumowano szóstą edycję konkursu fotograficznego dla uczniów gimnazjów i szkół ponadpodstawowych pn. „Dbam o zdrowie – Nie palę papierosów”.

Wpłynęły 24 prace nadesłane przez 13 autorów. Jednej komisja nie zakwalifikowała do oceny. Pierwszą nagrodę przyznano Mateuszowi Giszce z kl. IIIa Gimnazjum Szkoły Podstawowej im. mjr Henryka Sucharskiego w Jezierzycach za pracę „Nie pal

po to, aby umrzeć”, drugą - Nikoli Chudziak z kl. III Gimnazjum Szkoły Podstawowej im. Janiny i Cyryla Zalewskich w Biesowicach za pracę „Wyjdź z popiołu i żyj zdrowo”, trzecią - Klaudii Kamińskiej z kl. IIa Gimnazjum im. ks. kard. Stefana Wyszyńskiego w Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Redzikowie za pracę „Nieodwracalne skutki”.

Wyróżnienia przyznano Marcelinie Mól z kl. II Gimnazjum Szkoły Podstawowej im. Kornela Makuszyńskiego w Kobylnicy za pracę „Gra o ży-

cie” i Laurze Sutowskiej z kl. I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce za pracę „Szczęśliwa, bo wolna od nałogów”. Praca Laury Sutowskiej została wykorzystana do druku powiatowego kalendarza na 2018 rok.

Nagrodzone prace wyeksponowano na wystawie w starostwie. (D.R.)



Futsal w Ustce

W hali sportowej Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce odbył się dwudniowy

turniej finałowy Młodzieżowych Mistrzostw Polski U-14 w Futsal. Tytuł mistrzowski zdobyła drużyna Rekordu Bielsko-Biała.



Fot. SAS

Futsal to minipilka nożna rozgrywana w hali i na otwartym boisku w 6-osobowych zespołach. W Polsce jako skodyfikowana dyscyplina sportu uprawiana jest od 1989 roku, kiedy po raz pierwszy w historii przeprowadzono Mistrzostwa Polski (w hali i na boiskach otwartych) - wówczas w pięcioosobowych zespołach.

O organizację mistrzostw w Ustce ubiegał się MKS Jantar Ustka i Komisja ds. Futsal i Piłki Piłkowej PZPN postanowiła przyznać mu prawo do zorganizowania imprezy tej rangi.

Finały rozegrano 27 i 28 stycznia. Uczestniczyło w nich

dwanaście drużyn piłkarskich, wśród nich drużyna Jantara Ustka, która zajęła szóste miejsce. Mistrzem Polski została drużyna Rekordu Bielsko-Biała. W finale pokonała Sobek Kraków 2:1, natomiast w meczu o trzecie miejsce Beniaminek Starogard Gdański pokonał TAF Toruń 3:0.

Pozostałe miejsca zajęły: 4. TAF Toruń, 5. Odra Opole, 7. SPN Szamotuły, 8. Futsal Oborniki, 9. Junior Hurta Łęczyca, 10. MKF Solne Miasto Wieliczka, 11. Constract Lubawa i 12. Promień Żary.

Mistrzostwa odbywały się m.in. pod patronatem starosty słupskiego Zdzisława Kołodziejskiego. (P.)

Najlepsi w sporcie

27 stycznia w Dolinie Charlotty uroczyste podsumowanie 58. Plebiscytu Sportowy Głos Pomorza za rok 2017. Uhonorowano najlepszych sportowców, trenerów i drużyny.

W tegorocznej edycji nagrodzeni zostali, jako najpopularniejsi trenerzy roku 2017 regionu słupskiego: Krzysztof Lehmann z Klubu Karate Niepogłędzie, Julian Lis z Gryfa Słupskiego (strzelectwo) i Bernadetta Kopeć z AML Słupsk (lekkoatletyka). Najpopularniejszą imprezą sportową ro-

ku w regionie słupskim został XXIV Bieg im. Elżbiety Garduły w Korzybiu, a najpopularniejszą drużyną roku - drużyna piłkarska Olimpijczyka Kwakowo.

Najpopularniejszym sportowcem roku w sporcie młodzieżowym została Martina Szaniawska z Gryfa Słupsk (judo), a najpopularniejszymi sportowcami roku w regionie słupskim: Tomasz Skrzypek (MMA) i Łukasz Stasiak i Leon Paweł Choiniński (Gryf Słupsk), Krystian Klawiowski (Adkonis Team Słupsk)

i Krystian Bondarenko (Fenix Słupsk).

Werdyktem kapituły sportowców roku została Małgorzata Pazda-Pozorska z Akademii Młodego Lekkoatlety w Słupsku, trenerem roku - Roberts Stelmahers z Czarnych Słupsk (koszykówka), drużyną roku - Drutex-Bytovia Bytów.

Obecny na podsumowaniu plebiscytu starosta słupski Zdzisław Kołodziejski wręczył prezesowi UKS Olimpijczyka



Fot. K. Piotrkowski

Kwakowo Andrzejowi Wojtaszkowi nagrodę za tytuł najpopularniejszej drużyny roku. (GP)

Wielkie śpiewanie

W kościele parafialnym pw. św. Antoniego Padewskiego w Jezierzycach 20 stycznia odbył się XVIII Powiatowy Przegląd Kolęd i Pastoralek. Wzięta w nim udział rekordowa liczba wykonawców.

Przegląd zainaugurował występ Orkiestry Dętej Gminy Słupsk pod kierownictwem jej kapelmistrza Mirosława Pawlaka. Do przesłuchań zgłosiło się ponad pięćdziesięciu wykonawców - solistów i zespołów w różnych kategoriach wiekowych. Jak oceniła przewodnicząca jury prof. Monika Zytke z Instytutu Muzyki Akademii Pomorskiej w Słupsku - poziom

prezentacji był bardzo wysoki, a repertuar pokazał bogactwo polskiej tradycji kolędowej.

Grand Prix przyznano zespołowi „Świerszcze” z Centrum Kultury i Biblioteki Publicznej Gminy Słupsk. W kategorii solistów klas I-III zwyciężyła i nagrodę specjalną księdza Feliksa Samulaka - wyśpiewała Magda Wójcik ze Szkoły Podstawowej z Wytowna. W kategorii zespołów w tej samej grupie wiekowej pierwszego miejsca nie przyznano, drugie zdobył zespół „Mlecza-ki” z Gminnego Ośrodka Kultury w Potęgowie.

Wśród solistów z klas IV-VII zwyciężyła Oliwia Lewińska z Gminnego Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy, wśród zespołów w tej kategorii zwyciężyły „Anielskie Nut-

ki” z Parafii Świętej Faustyny w Słupsku.

W kategorii solistów ze szkół ponadpodstawowych zwyciężyła Roksana Białek z Centrum Kultury Gminy Ustka. Zespoły z tej kategorii wiekowej włączono do ze-

społów dorosłych i pierwsze miejsce przyznano „Świerszczom” z Centrum Kultury i Biblioteki Publicznej Gminy Słupsk.

Wśród solistów dorosłych zwyciężyła Agnieszka Perkowski także z CKiBP Gminy Słupsk. (GS)



Fot. SAS

Góralski bal środowiskowy

Kilkudziesięciu podopiecznych i opiekunów środowiskowych domów samopomocy z powiatu słupskiego wzięło udział w balu „Na góralską nutę!” w Gminnym Centrum Kultury w Potęgowie.

Bal zorganizowali 2 lutego pracownicy Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej i działającego przy nim Środowiskowego Domu Samopomocy. Uczestniczyli w nim podopieczni i opiekunowie z zaproszonych środowiskowych domów samopomocy w Rumsku, Gardnie Wielkiej, Kępicach oraz

domów pomocy społecznej w Lubuczewie i Machowinku.

- Nasi podopieczni to grupa aktywnych osób, które z na-

szym wsparciem uczestniczą w życiu gminy - mówi Iwona Gierke, kierownik GOPS w Potęgowie. - Odwiedzają szkoły, organizują występy dla swoich rodzin. Takie spotkanie, kie-

dy mogą poznawać także inne osoby uczestniczące w działaniach środowiskowych domów samopomocy spoza naszej gminy, jest bardzo cenne, również dla opiekunów, którzy mają okazję, by wymienić się doświadczeniem.

W zabawie wziął udział Dawid Litwin - wójt gminy Potęgowe, który wręczył przedstawicielom wszystkich placówek upominki. W programie imprezy były występy artystyczne o tematyce góralskiej, konkursy z nagrodami i zabawa taneczna. Wśród serwowanych potraw nie zabrakło oczywiście kwaśnicy, oscypka i innych góralskich przysmaków. (GOPS)



Fot. Archiwum SDS Potęgowe

Punkty rejestracji pojazdów

15 lutego br. zostały otwarte punkty rejestracji pojazdów w Ustce i Kępicach. Mieszkańcy tych gmin, a także wiejskiej gminy Ustka nie muszą już przyjeżdżać do starostwa załatwiać spraw.

Punktu powstały w urzędach miejskich. W Ustce punkt czynny jest we wtorki i czwartki w godzinach od 8.30 do 14.00, w Kępicach - w środy i piątki także w godzinach od 8.30 do

14.00. Obsługują je pracownicy Wydziału Komunikacji i Drogownictwa słupskiego starostwa.

W terenowych punktach rejestracji pojazdów można załatwić sprawy związane z zarejestrowaniem i wyrejestrowaniem pojazdu, wymianą dowodu rejestracyjnego, wpisaniem lub wykreśleniem zastawu rejestrowe-



go, montażem instalacji przystosowującej pojazd do zasilania gazem, wprowadzeniem zmian konstrukcyjnych zmieniających rodzaj pojazdu, wymianą podwozia lub ramy, uzyskaniem wtórnika karty pojazdu, wtórnika nalepki kontrolnej na szybę, znaków legalizacyjnych na tablice, wtórnika tablic rejestracyjnych i inne. (P.L.)

Umiesz liczyć, licz na siebie

Nowe twarze rządu, który postanowił tkwić przy „dobrej zmianie w interesie suwerena”, mają tylko polepszyć ogólny jego wizerunek, a przy okazji usprawnić logistycznie walkę z unijnymi „urzędnikami”, jak to określają członkowie partii rządzącej.



stwowych, stosowaliśmy się między innymi do podobnej zasady: dokonania wyboru spośród tych, których znamy najlepiej, na których możemy liczyć, którzy są odpowiednio doświadczeni życiowo, a i ich wiedza o wszelkich meandrach świata polityki jest przeciętnie wyższa od wiedzy innych, zwykłych obywateli. W końcu licząc na nich, niejako liczyliśmy na własne doświadczenie i wyczucie, że wybieramy słusznie, właściwie i korzystnie dla siebie, a nie tylko dla nich samych.

Ja na przykład, podobnie znów nie trafiłem z intuicją, dałem się oszukać losowi, nie stosując się, a raczej należałoby napisać - nie poddając dogłębnej analizie związanej z tym wszystkim sytuacji politycznej. - Zamiast liczyć na siebie, zawierzyłem innym. Zawierzyłem, bo nie uwzględniłem jeszcze jednej ważnej zasady postępowania, którą powinniśmy się w swym życiu kierować: zasady zaufania. Zaufania społecznego, wynikającego z przekonań religijnych, czy też po prostu ze zwykłej ludzkiej lojalności wobec siebie nawzajem.

Tak się składa, że zarówno rozsławiana współcześnie demokracja, jak i system ekonomiczny, w którym teraz żyjemy, nie sprzyjają uczciwości wzajemnej współobywateli.

Zapewne Czytelnicy znają stare porzekadło, mówiące o tym, że w życiu należy przede wszystkim swoje plany wiązać z własnymi możliwościami, a planując cokolwiek, najpierw należy wziąć pod uwagę te okoliczności, które - płynąc z naszych doświadczeń - będą przede wszystkim opierać się na trwałych podstawach naszej wiedzy i naszych argumentów: argumentów siły i pieniądza.

To ogólne odniesienie czynię przede wszystkim do spraw natury społecznej, także politycznej, ale... można go odnieść też do spraw najbardziej prozaicznych. Do sytuacji, które w zamierzchłej przeszłości przyczyniły się do utrwalenia w świadomości społecznej porzekadła: „Umiesz liczyć, licz przede wszystkim na siebie”.

Postaram się spojrzeć na problem najpierw z perspektywy nauczyciela, niekoniecznie matematyka, chociaż w temacie o liczeniu mowa. Nauczyciela dlatego, że to szkoła najczęściej uczyła nas odpowiedzialności za siebie, za swoją wiedzę i nasze oceny. To w szkole przede wszystkim spotykaliśmy się najpierw z tym mądrym przekazem, że w życiu należy przede wszystkim liczyć na siebie.

By spojrzeć na problem szerzej, żeby stać się strategiem w stosowaniu życiowych mądrości, potrzeba oczywiście „swoje przeżyć”. Trzeba doświadczenia, wiedzy i nabytej z czasem intuicji. Wokół nas codziennie rozgrywa się dziesiątki wydarzeń, podejmowane są setki ważnych decyzji. Zawsze przy ich podejmowaniu musimy stosować się do pewnego wzorca postępowania: najpierw wnikliwie oceniamy sytuację, potem wyciągamy z niej odpowiednie wnioski. Intuicja czasami może nas zawieść. Zwłaszcza jeśli będzie wpływać z przesadnej oceny sytuacji, lub gdy nie uwzględnimy możliwości zmieniających się okoliczności. Tak zwłaszcza bywa w prywatnym życiu, gdy w mniej ważnych sprawach, staramy się tę zasadę bagatelizować, o czym sam przekonałem się niejednokrotnie.

Owo rezolutne powiedzenie: „Umiesz liczyć, licz przede wszystkim na siebie”, które można też zaliczyć do specyficznych mądrości ludowych, powinni znać i nasi politycy. Znać i stosować się do niego tym bardziej, że przecież wybierając ich na swych reprezentantów w rządzie i w innych organach pań-

Fot. KPRM

W społeczeństwie szerzy się, a czasami wręcz panoszy cwaniactwo, wokół nas coraz więcej uwija się oszustów ze swoimi „ciemnymi interesami”, a żerowanie na cudzej krzywdzie, czy biedzie, coraz trudniej napiętnować w sensie moralnym (niewiele to daje), a i kryminologia też ma z tym coraz więcej kłopotów.

Podjmując zatem wiele ważnych dla siebie decyzji, musimy brać i to pod uwagę, czy ktoś nie próbuje nas oszukać, czy na pewno podejmu-

Tak oto, snując te rozważania, dotarłem do ostatniego już ich elementu, do spojrzenia na problem oczami politologa, a zarazem baczego obserwatora współczesnej sceny politycznej.

Dokonała się zapowiadana od miesięcy rekonstrukcja rządu. Rzekomo głęboka, chociaż osobiście nie przesadzałbym z takimi ocenami. Zaprzecza temu zresztą pozostawienie w dotychczasowym jego składzie głównego dewastatora systemu sądownictwa Zbigniewa Ziobry.

na pewno był w błędzie. Nowy premier nie zamienił poprzedniego, pani Beaty Szydło, żeby podpisać ustawy Trybunału Konstytucyjnego, które ona zablokowała, lecz po to, by dać nową twarz staremu systemowi.

Zatem nowe twarze rządu, który postanowił tkwić przy „dobrej zmianie w interesie suwerena”, mają tylko polepszyć ogólny jego wizerunek, a przy okazji usprawnić logistycznie walkę z unijnymi „urzędnikami”, jak to określają członkowie partii rządzącej.



Fot. KPRM

jąc jakiegokolwiek ryzyko, nie narazimy się innym i czy będziemy mieli z tego jakiś „zysk”, zrobimy planowany „dobry interes”? Czy licząc na innych, będziemy naprawdę bezpieczni.

Nawet pod najładniejszą pokrywką nie ugotuje się smaczniejsza zupa, jeśli nie zmienimy składników, z których ją przygotowano. Nawet najładniejsze opakowanie nie zmieni nastawienia do prezentu, jeśli nim będzie źle skrojony garnitur, czy sukienka.

A w tym przypadku władze partii rządzącej tak próbują udobruchać (w mojej ocenie - okpić) Unię Europejską, która idąc tropem śledzenia niebezpiecznych zmian systemowych w polskim prawodawstwie i odchodzenia od europejskich zasad demokracji, otworzyła proces wdrażania unijnych sankcji, dając Polsce trzy miesiące na dokonanie radykalnego zwrotu w swej polityce.

Jeśli ktokolwiek wcześniej oczekiwałby, że zmiany w rządzie wprowadzono po to, by nowymi ludźmi zwrotu tego dokonać,

I tylko jedno dla mnie pozostaje w tym wszystkim niejasne. A mianowicie: czy zasada, owa mądrość ludowa; „Umiesz liczyć, licz przede wszystkim na siebie” - zacznie być stosowana także w polskiej polityce? Póki co, uzależnianie się od jednego człowieka - premiera Orbana w tak ważnych sprawach współistnienia w Unii, obraża naszą dumę Polaków, dumę z dotychczasowych osiągnięć w UE, i jest bardzo ryzykowne.

Jeśliby się potwierdziło, że nasz rząd nie potrafi liczyć na siebie, liczy jedynie na to, że jego sukcesy będą zależeć od woli innych rządów (choćby najbardziej bliskich nam historycznie), nam Polakom - którzy zawiedli się na oczekiwaniach wobec niego, nie pozostanie nic innego, jak tylko czym prędzej wypowiedzieć mu swoje pełnomocnictwo - i zmienić „wolę suwerena”.

**Jan Stanisław Smalewski
Bąkowo**



List w sprawie nazistów

Wielu z nas nie miało pojęcia, że w Polsce od 2011 roku neonaziści w miasteczku o nazwie Wodzisław Śląski, młodzi ludzie (Polacy?) pozdrawiają się hitlerowskim gestem.

Jestem starym człowiekiem, który pamięta wojnę. Nie tyle jej okropność i tragizm - miałem wtedy pięć lat, co samotność matki, huk wystrzałów, biedę i widok martwego żołnierza na schodach do kościoła. Pamiętam jednak dobrze naukę dziadków: - nie zapomnij nigdy, że ojca zamordowali ci Niemcy. Nie było we mnie jeszcze uczucia nienawiści ani woli zemsty, ale nauki dziadków tkwią do dziś. Staram się powracać myślą do tamtych czasów i czynię to przeglądając zdjęcia, czytając listy przekazane mi przez matkę dotyczące korespondencji z ojcem uwięzionym w obozie koncentracyjnym w Mauthausen Gusen.

29 stycznia br. mija 77. rocznica jego śmierci. Zawiadomienie podpisane przez Obersturmführera SS przesłało biuro obozowe informując, że więzień nr 5904 z bloku nr 10 zmarł i istnieje możliwość przesłania prochów przez administrację krematorium na podany adres. Matka skorzystała z tej możliwości, dzięki czemu mogę obecnie zapalić świeczkę ojcu, którego nie znałem.

W Powstaniu Warszawskim w walkach na Mokotowie zginął mój wujek pośmiertnie odznaczony Krzyżem Walecznych. W podchojniczej dolinie śmierci swój własny grób

zmuszony był kopać ojciec mojej żony. Postanowiłem napisać o tym, ponieważ nigdy nie przyszło mi na myśl, że dożyję czasów, w których będę świadkiem odrodzenia się faszyzmu na tak wielką skalę. Tym bardziej w kraju tak bezwzględnie unicestwianym. W którym anonimowych grobów ofiar wojny są miliony. Nasze pokolenie wymiera. Jest nas coraz mniej. Nikt się tym specjalnie nie przejmując, a pogrobowcy faszyzmu czują się coraz lepiej.

Ten list zainspirowany telewizyjnym pokazem faszystowskich uroczystości obchodzonych w Polsce odświeży zapewne przeżycia podobnych mi wiekiem Polaków. Wspomnienia ogarną myśli ojców i matki ofiar. Wielu z nas nie miało pojęcia, że w Polsce od 2011 roku neonaziści w miasteczku o nazwie Wodzisław Śląski, młodzi ludzie (Polacy?) pozdrawiają się hitlerowskim gestem, że zbrodniarz uznany przez świat za pomiot szatana, Adolf Hitler obchodzi pośmiertne urodziny jako „jeden z najlepszych umysłów wszech czasów, dżentelmen i przyzwoity człowiek”.

Nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Oskarżam tych, co tolerowali istnienie tej organizacji bandyckiej przez siedem lat! Czy teraz zabie-

rający głos pan Schetyna, protestujący i oburzony przywódca PO, sugerujący istnienie zagranicznych promotorów faszyzmu poza Polską, był przez te lata na księżycu? Czy wiecznie żądny zemsty minister Ziobro, minister i prokurator wszechwładny, zdecydował się zlecić prokuraturze zbadanie legalizacji istnienia tej organizacji, o jakże wzniosłej i chwalebnej nazwie Duma i Nowoczesność? Czy zrobił to dopiero po tym, gdy cały świat obejrzał ten niewiarygodny, lecz prawdziwy film? Czy pomyślał o polskiej młodzieży przyglądającej się tym hitlerowskim, tolerowanym harcom? Dlaczego natychmiast nie zakazał działalności faszystowskiej organizacji?

Pewny jestem, że oddźwięk tego wydarzenia przyniesie jeszcze więcej słów potępienia poczynaniom obecnych władców, obejmujących urządowanie hasłem: „Tak mi dopomóż Bóg.” Czekam na odzew Episkopatu Polskiego, profesorów i nauczycieli, twórców i artystów. Może słowa potępienia zmuszą rządzących - Prezydenta, Premiera polskiego rządu do publicznego przeproszenia wszystkich rodaków, a w szczególności tych, którzy złożyli ofiarę krwi w tej straszliwej wojennej hekatombie.

Andrzej Szczepanik, Bytów

Rok 2017 był dobry dla naszego powiatu. Już na początku oddaliśmy do użytku mieszkanie chronione w Ustce, w którym mogą mieszkać młode osoby opuszczające pieczę zastępczą i łatwiej jest im „wchodzić” w tzw. dorosłe życie. W Sycewicach otwarte zostały pierwsze w naszym powiecie warsztaty terapii zajęciowej dla osób niepełnosprawnych. Jednak największym wyzwaniem dla powiatowego samorządu jest zawsze poprawa stanu dróg powiatowych. W ubiegłym roku na ich przebudowę mogliśmy przeznaczyć aż ponad 17 milionów złotych! Większość tych środków to fundusze pozyskane z zewnątrz, co niezmiernie cieszy. Bo w ten sposób mogliśmy wykonać więcej napraw i remontów. Inwestycje drogowe realizowaliśmy na terenie wszystkich gmin i - co jest też sukcesem - z ich finansowym udziałem. To także przyczyniło się do tego, że mogliśmy wyremontować więcej odcinków dróg powiatowych. Skutecznie sięgnęliśmy po środki z Programu Rozwoju Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej oraz Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich. Dzięki temu planujemy już kolejne inwestycje drogowe, na które przeznaczymy w 2018 roku również co najmniej kilkanaście milionów złotych.

Zorganizowaliśmy wiele imprez dla mieszkańców powiatu. Sukcesem okazał się przygotowany po raz pierwszy Festiwal Folklorystyczny „Ziemia Słupska”, w którym wzięło udział ponad trzystu artystów z kraju i zagranicy. Poza tym że impreza się udała, to istotne jest też, że fundusze na jej organizację nasze powiatowe Centrum Edukacji Regionalnej pozyskało z Narodowego Centrum Kultury. Odbyły się tradycyjnie Powiatowe Dożynki i Pokopki - czyli Święto Ziemniaka. Po raz pierwszy zorganizowaliśmy Powiatową Olimpiadę Pierwszej Pomocy dla młodzieży gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej. Wzięły w niej udział reprezentacje szkół z całego powiatu. Bardzo się cieszę z tej organizacji, bo impreza ta przyczyniła się do podniesienia umiejętności i wiedzy młodych ludzi z zakresu udzielaniu pierwszej pomocy. Niezwykle cennymi wydarzeniami, które kierujemy do osób niepełnosprawnych, była przygotowana już po raz drugi Spartakiada Osób Niepełnosprawnych w Ustce oraz Powiatowy Przegląd Artystyczny Osób Niepełnosprawnych. W obu tych imprezach uczestniczą też nasze partnerskie powiaty.

Dobry rok!

- Największym wyzwaniem dla powiatowego samorządu jest zawsze poprawa stanu dróg powiatowych. W ubiegłym roku na ich przebudowę mogliśmy przeznaczyć aż ponad 17 milionów złotych
- mówi starosta słupski Zdzisław Kołodziejski.



Fot. Archiwum Autora

W 2017 roku wdrożyliśmy program profilaktyki boreliozy w powiecie słupskim. Badania, których celem było wykrycie tej groźnej choroby spotkały się z dużym zainteresowaniem naszych mieszkańców, dlatego w tym roku mamy zamiar go również realizować.

Nasza jednostka - Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku wsparł w ubiegłym roku przedsiębiorców i osoby poszukujące pracy niebagatelną kwotą, bo 23 milionów złotych, za co m.in. otrzymał nagrodę specjalną Ministra Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Wykazał się też - co jest

ważne - dużą skutecznością w swojej działalności.

Za działania podejmowane w 2017 roku uzyskaliśmy drugie miejsce w Ogólnopolskim Rankingu Związku Powiatów Polskich w kategorii powiatów od 60 do 120 tysięcy mieszkańców. Nie dziwię się, bo naprawdę był to dobry rok w naszej powiatowej działalności. I chociaż podobne nagrody otrzymywaliśmy również w latach wcześniejszych, to w minionym roku naszą aktywność i skuteczność oceniam jednak o wiele wyżej. I to mnie bardzo cieszy.

Zanotował: Paweł Lisowski, Słupsk

Jest lepiej, ale może być znowu gorzej

W związku z tym, że ustawy przygotowywane są chaotycznie, bez głębszej analizy, panuje nerwowa atmosfera w polityce, przedsiębiorcy tracą zaufanie do obecnej ekipy rządzącej.



Fot. Archiwum Autora

Z Janem Czechowiczem – prezesem Słupskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, właścicielem firmy PLASMET z Widzina o problemach gospodarczych regionu – rozmawia Włodzimierz Lipczyński

- Czy rok 2017 był dobry dla rozwoju małej przedsiębiorczości?

- Miniony rok był jednym z lepszych w ostatnich latach w rozwoju przedsiębiorczości. Ale, jeśli byłoby większe zaangażowanie obecnego rządu w sprawy związane z gospodarką, wskaźniki byłyby jeszcze lepsze, ponieważ gospodarka w całej Europie dobrze się rozwija. Uważam jednak, że był to ostatni dobry rok i gospodarka w najbliższych latach będzie zwalniać. A będzie tak dlatego, że rząd przez ostatnie dwa lata niewiele zrobił, aby ułatwić nam lepszy rozwój. Od stycznia br. weszły dwie nowe ustawy - Jednolity Plik Kontroli - dotyczy przesyłania wszystkich danych z

firm związanych z finansami do Ministerstwa Finansów. Ustawa ta znacznie ułatwia walkę z wyłudzeniem podatku VAT, ale z drugiej strony nakłada na przedsiębiorców dodatkowe obowiązki, co wiąże się z potrzebą utworzenia w przedsiębiorstwie dodatkowego stanowiska pracy.

Dруга obowiązująca od stycznia ustawa - o gospodarce wodnej nakłada na przedsiębiorców dodatkowe znaczne opłaty. Z dniem 25 maja br. wejdzie w życie nowe rozporządzenie regulacyjne kwestie ochrony danych w celu dostosowania naszych przepisów do unijnych. Jest bardzo skomplikowane i nie ukazały się jeszcze wytyczne, jak je stosować. W związku z tym, że usta-

wy przygotowywane są chaotycznie, bez głębszej analizy, panuje nerwowa atmosfera w polityce, przedsiębiorcy tracą zaufanie do obecnej ekipy rządzącej. Efektem tego jest spadek prywatnych inwestycji w przedsiębiorczości niemal do zera. Prowadzone są tylko te inwestycje, na które przedsiębiorcy otrzymali dotacje z Unii Europejskiej. W związku z tym, że wydajność w naszych, polskich firmach jest jeszcze mała w porównaniu z firmami zachodnimi, bez dalszych inwestycji o dużej innowacyjności, nie ma szans na rozwój gospodarczy. O tym się głośno nie mówi, ale w 2017 roku wzrosła upadłość przedsiębiorstw o 16 procent! To pierwszy objaw stagnacji gospodarczej.

Innym bardzo dużym hamulcem rozwoju przedsiębiorczości są dwie inne ustawy. Ustawa o wcześniejszych emeryturach wywołała takie skutki, że tylko w naszym województwie z rynku pracy w czwartym kwartale ub. roku ubyło 24 tysiące ludzi. Jest to dla nas, przedsiębiorców niezrozumiałe, ponieważ systematycznie przedłuża się wiek naszego życia i polepszają się warunki pracy. W innych krajach dostrzega się to zjawisko i przedłuża się wiek emerytalny, nawet z korzyścią dla emerytów, którzy pobierają większe świadczenia. U nas jest odwrotnie. Są takie zawody, w których pracownicy pracują w uciążliwych warunkach i po osiągnięciu obecnego wieku emerytalnego, nie są już zdolni do dalszej pracy. Powinni oni być objęci osobną ustawą i przejść na wcześniejszą emeryturę. Natomiast pozostali powinni dłużej pracować. W mojej firmie wszyscy, którzy są na „wcześniejszych” emeryturach dalej pracują - niektórzy na pół etatu. Wprawdzie rząd stworzył zachętę do dalszej pracy poprzez mniejsze emerytury, ale ta „motywacja” nie jest zachętą i nie cieszy się powodzeniem.

Ustawa o 500 + spowodowała wzrost urodzeń, ale jest niedopracowana. Osoby z niej korzystające, uważają, że nie opłaca się im już pracować. Ci, co nie pracują, korzystają z pełnego przywileju świadczeń, a dodatkowo otrzymują też pomoc z MOPR czy Caritas. A powinno być odwrotnie, ustawa ta powinna również motywować do podjęcia pracy. Jeżeli te osoby nie będą pracować teraz w wieku produkcyjnym, to później już nie podejmą żadnej pracy. W konsekwencji społeczeństwo będzie ich utrzy-

mywać do końca życia. O tym się teraz nie mówi, kto będzie te koszty później ponosił. Wniosek z tego taki, że dla obecnego rządu ważniejsza jest polityka socjalna i kampania przedwyborcza niż rzeczywisty rozwój gospodarki.

Dzięki realizacji tych dwóch ostatnich ustaw daje się zauważyć, że w Polsce wzrasta szara strefa. Osoby pobierające wsparcie w postaci świadczeń socjalnych formalnie wykazują, że nie podejmują żadnej pracy, ponieważ to jest warunek otrzymywania pomocy finansowej od państwa. A faktycznie pracują na „czarno”.

Znaczna liczba Polaków wyjechała z kraju za pracę i to jest ich prawo. W zamian mamy napływ młodych ludzi ze Wschodu. Ale ważniejszą sprawą w Polsce powinno być zagospodarowanie młodego potencjału ludzkiego, który pozostał w kraju i nie pracuje. W tym kierunku nie ma żadnego działania państwa. Natomiast niewątpliwie plusem jest nowa ustawa o szkolnictwie zawodowym, która mocno wspiera współpracę szkolnictwa z przemysłem, tzw. dualne szkolenie. Za tym także idzie korzystna pomoc finansowa dla ucznia. Warunkiem jest, aby odbył on praktykę w ciągu roku kalendarzowego w zakładzie pracy w liczbie 150 godzin. Wówczas otrzymuje stypendium w wysokości 970 zł. Jest to bardzo dobre rozwiązanie.

- Jak Pan ocenia rozwój społeczno-gospodarczy regionu słupskiego, na przykład w porównaniu z regionem koszalińskim? Czy w wielu dziedzinach mu ustępujemy?

- To porównanie jest bardzo trafne, ponieważ oba miasta są niedaleko od siebie oddalone i działają w podobnych uwarunkowaniach. Kilka lat temu Koszalin nam zazdrościł rozwoju, brał przykład ze Słupska, dzisiaj Koszalin z roku na rok zaczyna nas wyprzedzać w rozwoju i to we wszystkich dziedzinach. Odpowiedzialność za rozwój danego regionu ponoszą politycy, parlamentarzyści oraz władze samorządowe. W Koszalinie jest bardzo dobry klimat do współpracy niezależnie od przekonań politycznych, wszyscy pracują na rzecz rozwoju Koszalina i regionu. I są tego widoczne efekty. Jak wygląda ta współpraca w Słupsku? Nie ma atmosfery do współpracy. Dodatkowo próbuje się eliminować ze społeczeństwa ludzi, którzy

próbują coś dla regionu zrobić, mają wiedzę, wizję i osiągnięcia. Czasem wykorzystuje się zależne media. Najlepszym przykładem niech będzie ostatnio nadany program w TV1 na temat gminy Kobylnica. W programie tym próbowano dać widzom do zrozumienia, że w tej gminie istnieją jakieś ciche układy pomiędzy samorządem a przedsiębiorcami, co nie jest prawdą. Do Słupskiej Izby Przemysłowo-Handlowej w ostatnich latach napływały informacje od miejscowych przedsiębiorców, że często przegrywali przetargi na roboty miejscowe, pomimo że oferowali korzystniejsze oferty, a wygrywały firmy zewnętrzne. Dlatego też SIPH podjęła szereg działań wspierających naszych przedsiębiorców. Uważamy, że mają one swoje uzasadnienie, ponieważ powstają nowe miejsca pracy, a do samorządu wpływają dodatkowe środki finansowe w formie podatków. Ważne jest by były to działania zgodne z literą prawa. A tak jest. Dzisiaj gmina Kobylnica powinna być przykładem dla innych gmin, ponieważ jest bardzo wysoko oceniana w różnych rankingach krajowych i przez lokalną społeczność. Osoby, które próbują oczernić, często na granicy prawa, czy wyeliminować z życia społecznego uczciwych ludzi, nie kierują się dobrem ogółu, tylko własną karierą. Takie osoby nie pomagają, a tylko szkodzą rozwojowi regionu, z którego pochodzą. Nasi lokalni politycy też mało interesują

się rozwojem gospodarczym regionu. Myślę tak o parlamentarzystach, jak i niektórych samorządowcach, którzy zapominają, kto ich wybrał i kogo powinni wspierać.

- Czy są realne plany rozwoju gospodarczego regionu słupskiego? Od czego jest uzależniona ich realizacja?

- Aby przedsiębiorczość mogła się rozwijać w naszym regionie bardzo ważnym jest, aby był zapewniony szybki

dojazd do naszych zakładów. Dlatego tak ważna jest budowa całego odcinka drogi S6. Mówi się, że poprzedni rząd nie zapewnił środków finansowych na wszystkie inwestycje drogowe. Obecny rząd chwali się znakomitą budżetem, ale zamiast drogi S6 buduje inne drogi, które nie były ujęte w planie - obwodnicę Krakowa, kanał na Mierzei Wiślanej czy drogę z Koszalina do Szczecinka.

Dużym hamulcem dla rozwoju regionu słupskiego jest Tarcza Antyrakietowa. Zamiast rekompensat mamy tylko utrudnienia. Powodują one, że firmy, które planowały pierwotnie budować swoje zakłady w Słupskiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej, przeniosły się do Koszalina.

Innym czynnikiem mającym wpływ na rozwój przedsiębiorczości jest możliwość zagospodarowania czasu wolnego. W Słupsku takich możliwości nie ma, lub są bardzo ograniczone. Brak hali widowiskowej powoduje, że na duże imprezy rozrywkowe musimy jechać do Koszalina lub Trójmiasta. Duże znaczenie ma uprawianie sportu, ale Słupsk stać było tylko na jeden zespół w ekstraklasie. W Koszalinie podchodzi się zupełnie inaczej do sportu, dlatego tam się rozwija. A warunki u nas są. Mamy znakomity krajobraz; morze, jeziora, lasy, czyste powietrze, którego nam zazdroszczą mieszkańcy innych regionów. Na obrzeżach Słowińskiego Parku Narodowego znakomicie rozwija się agroturystyka.





Fot. J. Maziejuk

W dużych ośrodkach dojazd do pracy trwa od jednej do dwóch godzin, u nas przy dobrych drogach i zorganizowanym transporcie, wystarczyłoby 15 minut. To już duży atut. Ostatnio znowu trwają rozmowy na temat utworzenia województwa śródkowopomorskiego. Uważam że jest to sprawa drugorzędna. Ważniejszą jest droga S6 i własny okręg wyborczy, abyśmy mieli własną i silną reprezentację parlamentarną. W przeciwnym razie będziemy pustynią gospodarczą na mapie Polski.

Region nasz nie jest mocno uprzemysłowiony, działają tu głównie małe i średnie firmy. Dlatego ważne, aby w naszej Specjalnej Strefie Ekonomicznej powstała duża firma o wysokiej innowacyjności. Byłaby wsparciem i kołem napędowym dla małych firm. Warto też podjąć działania nad dalszym rozwojem agroturystyki, oraz bardziej wykorzystać własne surowce, rozwijając przetwórstwo drzewne i rolno-spożywcze, mając za przykład rozwijające się przetwórstwo rybne i dostępność tego surowca w naszym regionie.

- Czy planuje Pan nowe inwestycje w swoim zakładzie i czy będą to inwestycje innowacyjne?

- PLASMET jest firmą rodzinną z czterdziestoletnią tradycją. Na początku nasza siedziba mieściła się w Słupsku, ale została przeniesiona do Widzina w gminie Kobylnica. Ze względu na lepsze warunki rozwoju. Jesteśmy w ciągłym rozwoju i systematycznie zwiększamy produkcję. Nie narzekam na brak rąk do pracy. Od kilkunastu lat przygotowujemy

sobie sami kadrę techniczną, współpracując z Technikum Mechanicznym i Logistyki w Słupsku. Najlepsi absolwenci technikum kierowani są na studia techniczne i zwracamy im koszty nauki. W ostatnich kilkunastu latach ponieśliśmy duże nakłady na inwestycje, korzystając z funduszy unijnych. Zaplanowane mamy kolejne inwestycje, ale zostały wstrzymane ze względu na obecną sytuację panującą w kraju. Oceniliśmy, że ich rozpoczęcie byłoby zbyt ryzykowne.

Wpracowaliśmy sobie wysoką pozycję w branży motoryzacyjnej na rynku krajowym i międzynarodowym. Efektem są dobre produkty i liczne nagrody oraz wyróżnienia. Ostatnio, w czerwcu ub. roku na międzynarodowym kongresie motoryzacyjnym w Rawie Mazowieckiej zostałem uhonorowany tytułem „Mennadźer Roku 2017” - za wkład w rozwój branży motoryzacyjnej w Polsce.

Pomimo że zaczyna nam już brakować terenów pod dalszą rozbudowę, a w gminie Słupsk, w której też dba się o przedsiębiorców, znajduje się Słupska Specjalna Strefa Ekonomiczna, nie zamierzam przenosić firmy w inne miejsce, ponieważ władze gminy Kobylnica stwarzają bardzo dobre warunki dla prowadzenia przedsiębiorczości. Takie warunki powinny być stwarzane w każdej gminie w powiecie słupskim w Słupsku, w każdym miejscu w kraju, bo rozwój gospodarki, przedsiębiorczości decyduje o całym rozwoju kraju.

Rozmawiał:

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk

- Chciałbym naszym czytelnikom przedstawić nowego dyrektora Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku...

- Pochodzę z Boliwii, urodziłem się w La Paz, stolicy mojego kraju. Jest to najwyżej położona stolica na świecie - leży blisko cztery tysiące metrów nad poziomem morza! Zawsze kochałem muzykę, jak byłem w pierwszej klasie szkoły podstawowej nauczyciele zauważyli, że mam dobry słuch, poczucie rytmu i przyjęli mnie do chóru szkoły. Potem grałem w orkiestrze szkolnej na perkusji. Uczęszczałem do konserwatorium w La Paz i uczyłem się gry na gitarze oraz na fortepianie. Po ukończeniu konserwatorium kontynuowałem naukę na Uniwersytecie Katolickim, gdzie studiowałem dyrygenturę, kompozycję i teorię muzyki. Jednocześnie grałem w naszej filharmonii jako perkusista. Byłem też kierownikiem chóru Uniwersytetu Katolickiego, jak również asystentem dyrygenta w Miejskiej Orkiestrze Kameralnej. Zacząłem dyrygować swoje pierwsze koncerty mając dwadzieścia lat. Moja przygoda z Polską trwa od 1978 roku, wtedy otrzymałem stypendium rządu polskiego na studia w Warszawie. Skończyłem dyrygenturę symfoniczno-operową w Akademii Muzycznej im. F. Chopina u profesora Stanisława Wisłockiego. Posiadam bogaty życiorys artystyczny, m.in. jestem laureatem konkursu im. Fitelberga, byłem dyrektorem artystycznym oper: Wrocławskiej, Krakowskiej, Warszawskiej, Kameralnej i Filharmonii Koszalińskiej. Byłem również kierownikiem muzycznym Teatru Wielkiego w Łodzi. Dyrygowałem w całej Europie, Ameryce Południowej i w Japonii. Wybrano mnie na dyrektora słupskiej filharmonii, ponieważ wygrałem konkurs, w którym poparło moją kandydaturę 99 procent członków orkiestry.

- Czy przejął Pan dobrze prowadzoną filharmonię?

- Polska Filharmonia Sinfonia Baltica w Słupsku rozpoczęła swoją działalność pod kierunkiem Bohdana Jaromłowicza prawie trzydzieści lat temu jako orkiestra kameralna, a obecnie jest to bardzo sprawnie grająca orkiestra symfoniczna, która jest w stanie znako-

Chcę kontynuować dalszy rozwój orkiestry

Z Rubenem Silvą – nowym dyrektorem Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku – rozmawia Włodzimierz Lipczyński



Fot. SAS

mieć wykonać każdy rodzaj muzyki. Wiem, że to dobra orkiestra i ma spore osiągnięcia. Niedobrze tylko się stało, że przez te lata nie doczekała się profesjonalnej, nowoczesnej sali koncertowej. Prawie wszystkie większe miasta w Polsce skorzystały z funduszy unijnych i wybudowały sobie wspaniałe sale, które stanowią dziś ich wizytówkę. Mają je na przykład: Gdańsk, Szczecin, Koszalin, Zielona Góra, Jelenia Góra, Opole, Katowice,

Wrocław, Kraków, Olsztyn, Łódź, Gorzów, etc. Niestety, Słupsk nie skorzystał z tej możliwości, a teraz będzie już trudniej pozyskać unijne pieniądze na ten cel.

- Jakie ma Pan plany w kierowaniu słupską placówką kultury?

- Chcę przede wszystkim kontynuować dalszy rozwój orkiestry i wprowadzić repertuar typowy dla orkiestr filharmonicznych, czyli wykonywać kompozycje wielkich kompo-

zytorów polskich oraz światowych. Chcę doprowadzić do poważnego remontu sali koncertowej, a przede wszystkim wymienić niewygodne fotele i poprawić akustykę, która obecnie pozostawia wiele do życzenia. Chciałbym, aby orkiestra była również wielofunkcyjnym zespołem grającym symfonię, operę, operetkę, musicale i także lżejszą muzykę, tak aby trafiała do gustu różnych słuchaczy i w różnym wieku.

Pragnąłbym, aby nasza orkiestra osiągnęła poziom najlepszych orkiestr w Polsce, tak aby mieszkańcy Słupska byli dumni ze swojej filharmonii. Jednocześnie chciałbym, aby orkiestra miała godne - nowoczesne i funkcjonalne miejsce pracy. Uważam, że w tej kwestii jest dużo do zrobienia. Jest też moją intencją zachęcić miłośników muzyki do utworzenia w Słupsku stowarzyszenia przyjaciół filharmonii i zachęcać ludzi biznesu do wspierania naszej działalności, ponieważ bardzo wiele zależy będzie od dobrej kondycji finansowej naszej jednostki.

- Na co wybierzemy się w najbliższym czasie do filharmonii, to znaczy, na co chciałby Pan już teraz zaprosić miłośników dobrej muzyki?

- W najbliższym czasie chciałbym zorganizować festiwal muzyki Wojciecha Kilara i zrealizować cykl koncertów pod nazwą „Opera Viva”. Zbliża się rocznica 100-lecia urodzin Leonarda Bernsteina, dlatego z tej okazji planujemy zorganizować też kilka koncertów z muzyką tego genialnego Amerykanina.

Jestem przekonany, że są to dobre propozycje, gwarantują wysoki poziom wykonania i z pewnością ucieszą wymagających słupskich melomanów. Serdecznie zapraszam więc na nasze koncerty i zapewniam, że nie obniżymy poziomu artystycznych propozycji. Będziemy starali się go jeszcze podnieść.

**Rozmawiał:
Włodzimierz Lipczyński
Słupsk**

A black and white photograph showing a person's hands painting a tree trunk with a brush. The person is wearing a dark cap and a light-colored jacket. The tree trunk is being painted with a thick, white substance. The background shows other trees and a fence.

Słupskie zielone płuca

Kontynuując temat ogrodów działkowych w Słupsku (Powiat Słupski, nr 7-8/2017) początkowo nie zamierzałem pisać artykułu opartego o ich kontekst historyczny. Lecz jak rozwikłać historię zakładania ogrodów bez przypomnienia najważniejszego. To właśnie daty, położenie i wielkości kompleksów ogrodowych są najistotniejsze. Historia jest ważna, bowiem ukazuje jak w kontekście odgruzowywania miasta, modernizacji zakładów pracy, zapewnienia najprostszycich spraw bytowych ludności i tworzenia placówek zdrowia, równie ważne było zapewnienie mieszkańcom odpowiedniej formy wypoczynku.

Zielone płuca miasta to nie tylko liczne parki, ale także ogrody działkowe, które już trwale wpisały się w słupski krajobraz. Te pierwsze zakładano z inicjatywy zakładów pracy na potrzeby rodzin pracowników. To rodzinne ogrody działkowe (ROD) tworzyły istotny element zagospodarowania miasta, służący wypoczynkowi i rekreacji mieszkańców. Organem założycielskim ogrodów w Słupsku była Miejska Rada Narodowa z Wydziałem Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Sankcjonowała ini-

cyjatywę ludzi gotowych poświęcać swój wolny czas na aktywną uprawę działki, która niejednokrotnie stawała się ich wymarzonym domkiem z ogródkiem lub upragnionym balkonem przystrojonym pelargoniami. Praca w ogrodach uczyła gospodarowania, pielęgnacji i dbałości o powierzony skrawek ziemi, zacieśniała więzi rodzinne i społeczne.

Co zostało z tamtych aspiracji, dzisiaj trudno sprecyzować, bowiem zmieniły się czasy i tamten patos tak wówczas ważny, przeminął. Dzisiaj

o ogrodach działkowych myślimy szczególnie latem, gdy dobiega nas zapach grillowanej kielbasy. Ale w większości przypadków jest to nadal zamilowanie do ziemi wyniesione z domu, chęć wyprodukowania własnych warzyw i owoców, choć w mniejszej niżeli dawniej skali. Jest to też nadal odpoczynek na łonie natury.

Słupskie ogrody działkowe zakładano na nieużytkach, gruntach ornych niskiej klasy oraz na terenach podmokłych wykluczających sytuowanie budownictwa mieszkaniowe-

go. Dokooptowywano też nowe tereny do już istniejących.

Niewielkie kompleksy działkowe istniały w mieście jeszcze przed wybuchem wojny. Były to tereny zagospodarowane i użytkowane przez poprzednich mieszkańców. Świadczy o tym stan drzewostanu, który niekiedy liczy sobie ok. siedemdziesięciu lat.

Pierwszym i zarazem najstarszym ogrodem działkowych w powojennym Słupsku, jest ogród pod nazwą Meblarz założony 17 sierpnia 1956 roku z inicjatywy Słupskich Fabryk Mebli. Jego niewielkie parcele (poniżej 100 a) znajdują się w okolicach starego cmentarza, ulicy Obrońców Wybrzeża, oraz ulic: Kaszubskiej, Armii Krajowej, Lelewela, Dryuffa i Na Wzgórzu.

W latach sześćdziesiątych zakładano bodajże najwięcej ogrodów działkowych. Obecnej ulicy 3 Maja (dawna Nadmorska) i ulicy Fabrycznej od półkolistego żelaznego wiaduktu towarzyszył wysoki betonowy płot przerywany w kilku miejscach gospodarstwami rolniczymi i kończył się dopiero na rogu ulicy Leszczyńskiego, za którym w 1964 roku, rozlokował się drugi najstarszy w mieście ogród im. Stanisława Staszica o powierzchni 12,36 ha. Dzisiaj jest to zaledwie 2,01 ha z 59 działkami.

21 marca 1964 roku powstał ogród XX-lecia PRL, którego założycielami byli: Słupskie Fabryki Mebli, Państwowy Ośrodek Maszynowy, Sezamor, KMMO, Gazownia i Wodociągi. Podzielony został na cztery kompleksy, które pierwotnie nie miały zwartego charakteru. Jednocześnie wytyczono dwa nowe kompleksy przy rzece Słupi - im. K. Świerczewskiego i M. Nowostki. Obecnie nazwy tych kompleksów ulegają zmianie i, jak dzieje się to w większości przypadków, działkowcy już podjęli lub w najbliższym czasie podejmą stosowne uchwały.

Pod koniec 1964 roku powstał kompleks ogrodowy Zjednoczenie, który obecnie znajduje się w różnych częściach miasta. Powstał on z inicjatywy Centralnej Rady Związków Zawodowych oraz pracowników PKP. Liczył 50,63 ha. Obecnie ma 38,23 ha. Tworząc ten ogród Prezydium MRN w Słupsku zastrzegło sobie budowę przez jego tereny przejścia podziemnego, łączącego ulicę Sobieskiego z ulicą Wojska Polskiego. Jego

realizację planowano na lata 1970 - 1972. Jak wiadomo nie powstało ono wtedy, jego budowa ma ruszyć dopiero pod koniec bieżącego roku.

W 1965 roku założono dwa kompleksy działkowe - przy zbiegu ulic Piłsudskiego i 11 Listopada (dawna Marchlewskiego) - kompleks im. J. Krasińskiego i kompleks im. Chopina. W 1967 roku uzupełniono nowymi terenami istniejące pojedyncze małe kompleksy ogrodów przy ulicy Gdańskiej i Gdynńskiej. Po połączeniu tych dwóch terenów powstał podzielony na 11 sektorów ogród Bohaterów Westerplatte. Był on wówczas największym zespołem działkowym w mieście, zajmował 92,64 ha. Dzisiaj jest to zaledwie 53,49 ha. Inicjatorami założenia tego ogrodu były: Drogi i Mosty, Famarol, Sezamor i PKS.

W latach 1968 - 1970 powstał ogród pod nazwą Kolejacz na powierzchni 18,5 ha. Kolejarze w ówczesnym Słupsku byli bodajże największą grupą zawodową. Był to ostatni ogród założony w latach sześćdziesiątych minionego wieku i zamykał rozpędzony peleton ekspansji działkowej na terenie Słupska.

W 1971 roku powstały dwa kompleksy ogrodowe przy ulicy Banacha, które choć w okrojonej formie, istnieją do dzisiaj. Obecnie przy bardzo rozdrobnionej powierzchni ogród ten liczy około 4,86 ha.

11 lutego 1972 roku utworzono kompleks działkowy Ikar na pograniczu Słupska i Redzikowa, który pierwotnie służył rodzinom żołnierzy pełniących służbę w 7 Brygadzie Obrońców Wybrzeża. W 1979 roku utworzono ogród o wdzięcznej nazwie Tulipan przy ulicy 3 Maja. W późniejszych latach w tej samej części powstaje ostatni ogród działkowy w Słupsku o nazwie Odmiana, o łącznej powierzchni 12,56 ha.

Obecnie słupska rodzina działkowa liczy dziewięć zespołów o różnej powierzchni, kondycji i rozdrobnieniu. Zajmują one łącznie 220,71 ha. Na powierzchni tej znajduje się 5986 działek. W czasach działkowego prosperity było ich 6477 i zajmowały 278,21 ha.

Większość ogrodów była zakładana spontanicznie, dopiero później nadawano im formalne znaczenie. W tamtych latach chęć posiadania skrawka ziemi uprawnej była przeogromna. Obecnie nie ma nią już takiego zainteresowania.

W latach dziewięćdziesiątych ub. wieku zahamowano w mieście wzrost ogrodów działkowych, co wiązało się z ekspansją urbanistyczną miasta. Likwidacji uległo 27 ha ogrodów. Najlicniejszą grupę użytkowników działek stanowili nadal emeryci i renciści, choć ostatnio obserwuje się również zainteresowanie działkami ludzi młodych.

Ogrody są nieustannie zagrożone ekspansją miasta i wypychaniem poza obszar administracyjny, gdzie z uwagi na znaczną odległość od miejsca zamieszkania ich użytkowników, tracą na atrakcyjności. Obecnie do porzucania działek ogrodowych przyczynia się budowa tarczy antyrakietowej w Redzikowie oraz dewastacja ogrodów przez stada dzików. Zagrożają im też kwaśne deszcze, wyziewy przemysłowe z kominów, ogrzewanie piecowe emitujące znaczną ilość zanieczyszczeń oraz nadmierna emisja spalin samochodowych. Choć władze miasta monitorują problem i podejmują starania, aby niwelować zagrożenia, to mówienie dzisiaj o produkcji zdrowej żywności na działkach jest niedorzecznością.

Do najbardziej zagrożonych zespołów ogrodowych należą te przy ulicy Gdańskiej, Sobieskiego, Ogrodowej i Fabrycznej. Ich struktura była zawsze niejednolita. Uciążliwość są dojazdy do działek, a także ciągła dewastacja altan ogrodowych, niszczone uprawy i wandalizm. Paradoksalnie, im dalsza odległość od skupisk ludzkich, tym występuje większa dewastacja i niszczenie wszystkiego, co działkowcy wypracowują. Co z tego, że na obszarach tych ogrodów jest mniej zanieczyszczeń? Przyszłość rodzinnych ogrodów działkowych zależy od polityki miasta, władz ROD oraz skuteczności służb odpowiedzialnych za porządek i bezpieczeństwo. Potrzebna jest również większa świadomość samych działkowców, czym dysponują i jaką odgrywają rolę, a także większa edukacja proekologiczna w odniesieniu do prowadzonych upraw.

Należy również doprecyzować pojęcie „zrównoważonego rozwoju terenów zielonych”, które powinno określać współistnienie polityki mieszkaniowej miasta i terenów zielonych. Działacze ruchu działkowego rozumieją potrzeby urbanistyczne, ale oczekują też zrozumienia od władz miasta potrzeby istnienia w mieście terenów zielonych.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Działkowcy to ludzie odpowiedzialni

Rozmowa z Wiesławem Boratyńskim – prezesem Okręgowego Zarządu Rodzinnych Ogrodów Działkowych w Słupsku.



- W ostatnich dekadach w funkcjonowaniu ogrodów działkowych nie tylko w Słupsku nasiliły się tendencje do przekształcania działek warzywnych w typowo rekreacyjne. Czy to nie jest sprzeczne z definicją funkcjonowania ogrodów?

- Pierwsze ogrody były zapleczem produkcji warzyw i owoców. Wcześniej regulowała to ustawa. Zapis ustawy jednoznacznie precyzował, że nie więcej jak 15 procent terenu działki może być przeznaczony na część rekreacyjną. Ale zmieniły się czasy a wraz z nimi oczekiwania. Kiedyś prowadzono nawet statystyki, ile rocznie wyprodukowano warzyw, owoców, mięsa króliczego i jajek. Właśnie tak wówczas wyglądało gospodarowanie na działkach i była to ze wszech

miar też popularna forma spędzania wolnego czasu.

Uważam, że dzisiaj ogrody działkowe powinny spełniać oczekiwania członków. Nie powinno się tworzyć przeszkód i narzucać działkowcom formy zagospodarowania. Jako wieloletni działkowiec wychodzę z założenia, że połączenie funkcji rekreacyjnej działki z tzw. funkcją warzywną jest społecznie pożyteczne. Śmiem twierdzić, że przy zachowaniu odpowiednich zasad, jakoś w ten sposób wyprodukowanych warzyw i owoców będzie nieporównywalna z jakością warzyw i owoców kupowanych w marketach. Funkcjonowanie dwóch form zagospodarowania działek w żaden sposób nie koliduje z de-

finicją ogrodów działkowych. Praca na działce przede wszystkim powinna sprzyjać relaksowi i uprawie. Najważniejsze, aby działkowiec dbał o powierzone mu mienie we właściwy sposób.

- Wiem z autopsji, że dokuczliwym problemem dla działkowców są włamania do altan, niszczenie mienia, dewastacja upraw poprzez podtapianie terenów. Jak zarząd przeciwdziała tym zjawiskom?

- Podejmujemy działania zapobiegawcze. W tym celu część ogrodów znajdujących się w sąsiedztwie siedziby zarządu posiada monitoring. Jego uruchomienie przyczyniło się do wyraźnego spadku aktów dewastacji. Powinno być więcej takich urządzeń, ale na przeszkodzie, jak zawsze, jest brak

środków. Powodem włamań jest najczęściej zbieranie złomu, chociaż moim zdaniem również sami działkowcy powinni dbać o ochronę mienia. Powinni z większym wyczuciem odnosić się do niepożądanych osób, ponieważ z reguły bywa tak, że przyszły złodziej właśnie w dzień rozpoznaje teren, a nocą dokonuje włamania.

Mamy oczywiście wypracowane formy przeciwdziałania patologicznym zjawiskom. Współpracujemy z policją, ze strażą miejską, ale nie zawsze te interwencje są skuteczne. Jeśli natomiast chodzi o podtopienia działek, to trzeba powiedzieć, że ten rok jest wyjątkowy. Większość terenów działkowych była meliorowana. Obecnie podejmujemy się tego w ogrodzie Drogowiec. Problem występuje w ogrodzie im. R. Luksemburg, ale ze względu na niesprzyjającą aurę, jest on trudny. Zdecydowanie łatwiej jest drenować teren, kiedy jest on jeszcze w formie niezagospodarowanej. Kiedy jest już użytkowany, trudniej prowadzić meliorację. Mogę zapewnić, że w miarę posiadanych środków będziemy zapobiegać podtapianiu działek.

- Infrastruktura rodzinnych ogrodów ulega naturalnej dekapitalizacji. Czy zarząd przewiduje w swoich planach nowe inwestycje lub modernizację istniejących urządzeń? Chodzi mi o ogrodzenia budynków, dostawy wody, doprowadzanie energii do działek itp.

- Zarządy ogrodów na bieżąco monitorują te zagadnienia, wymieniają stopniowo instalację wodociągową, modernizują ogrodzenia zewnętrzne, bramy lub - jak w przypadku ogrodu im. S. Staszica - zakładane jest nowe ogrodzenie. Wszystkie te działania są finansowane środkami z funduszu rozwoju ROD. Od władz miejskich nie udało nam się jeszcze pozyskać funduszy na te cele, jak również z programów unijnych. Uważam, że dużą sprawą, którą udało się nam zrealizować jest elektryfikacja działek. Problemu tego przez wiele lat nie mogliśmy rozwiązać przez niejasne przepisy dostawcy prądu. Obecnie współpraca z dostawcą energii przebiega wzorowo. Mam nadzieję, że tak będzie nadal.

- Ponawianym postulatem na zebraniach działkowców jest brak śmietników na odpady wielkogabarytowe. Trafionym pomysłem jest natomiast częstsza możliwość po-

zbycia się przez działkowców odpadów mieszanych.

- Zarząd uważa, że w wielu przypadkach do zalegania wielkogabarytowych odpadów przyczyniają się sami działkowcy, którzy się ich po prostu nie wyzbywają. Żal im wyrzucić jakąś rzecz, bo się przyda. Po niewczasie dochodzą dopiero do wniosku, że im przeszkadza i chcą się jej pozbyć. Tam, gdzie jest to możliwe, organizujemy wywóz nietypowych śmieci. Z reguły odbywa się to w okresie wiosny i jesieni. Do niektórych ogrodów jest natomiast utrudniony dojazd i z tego powodu sprawy te mają się tam gorzej. Jeśli natomiast chodzi o wywóz śmieci w workach to podejmujemy rozmowy z firmami odpowiedzialnymi, aby ich odbiór odbywał się jak najczęściej.

- Obowiązuje obecnie ustawa dekomunizacyjna, która wymusza niejako zmianę nazewnictwa ogrodów, kompleksów i kół. Jakie kroki podejmuje zarząd, aby jej sprostać?

- Jedynym władnym organem, który może zmienić nazwę ogrodu, koła czy sektora jest walne zebranie członków ROD. To działkowcy sami decydują o zmianach nazw i w wielu przypadkach podejmują decyzje negatywne. Potem dochodzi do zmian nazw i ingerencja zewnętrzna nie jest

potrzebna. Działkowcy to ludzie odpowiedzialni.

- Jak w pana ocenie prezentują się słupskie ogrody działkowe na tle kraju? Czy Zarząd Okręgowy utrzymuje partnerstwo z podobnymi zarządami w Europie?

- Ogrody działkowe pozostające w strukturach Okręgowego Zarządu w Słupsku wyróżniają się na tle kraju. Będąc członkiem z dwudziestoletnim stażem Krajowej Komisji Konkursowej Polskiego Związku Działkowców stwierdzam, że na przykład w przypadku elektryfikacji wyprzedzamy inne ogrody w kraju. W mojej ocenie ogrody zmieniają się na lepsze. Znikają brzydkie altany, poprawia się wygląd działek, choć tu i ówdzie da się jeszcze zaobserwować fatalny ich stan. Zarząd ma możliwości przeciwdziałania takim zjawiskom, chociażby z wykorzystaniem artykułu 36 ustawy o ogrodach działkowych, wypowiadając takiemu użytkownikowi umowę dzierżawy. Z reguły jednak wdrażamy działania upominające i to w wielu przypadkach pomaga.

Jeśli chodzi o współpracę z innymi ogrodami w Europie to rozwija się ona głównie w strefach przygranicznych. Władze centralne w Warszawie współpracują z ogrodami w wielu krajach w Europie. W naszym przypadku

nie ma jeszcze takiej współpracy. Ale jesteśmy na nią otwarci. Tak samo, jak jesteśmy zawsze otwarci, na współpracę z władzami Słupska.

- Właśnie, jak przedstawia się przyszłość Słupskich Ogródów Działkowych w kontekście współpracy z władzami miasta?

- Współpraca taka jest, ale chciałoby się, żeby była lepsza. Jednak ta, która jest w zupełności nas zadowala. Wymiernym jej efektem jest regulacja stanu prawnego gruntów, na których znajdują się ogrody. Obecnie 90 procent ogrodów działkowych w Słupsku posiada status wieczystego użytkowania. Stało się tak po roku 1996, po nowelizacji ustawy, której zapis głosi, że likwidacja ogrodu występuje tylko wtedy, gdy teren przeznaczony będzie na cele społeczne. Jak ważna jest to sprawa, okazuje się wszędzie tam, gdzie stan prawny ogrodów jest obecnie niepewny. Wiele ogrodów w kraju w wyniku tego zapisu przestało istnieć, a w miejscu ich funkcjonowania wyrosły nowe osiedla mieszkaniowe. Wydaje się nam, że jesteśmy w dobrej sytuacji, do prognozowania przyszłości. Nie pojawiają się symptomy nacisku ze strony miasta na inną formę zagospodarowania terenów działkowych, choć ostatecznie wzmianki o inwestycji przejścia podziemnego, łączą-

cego Zatorze z ulicą Wojska Polskiego, zasilały wiele wątpliwości. Pojawiły się bowiem przy okazji sprzeczne informacje mówiące o całkowitej likwidacji kompleksu przy ulicy Jana Sobieskiego w kontekście utworzenia w tym miejscu parku. Gdyby tak się miało stać, to władze miasta byłyby wtedy zobligowane do wyznaczenia ogrodu zastępczego, włącznie z uzbrojeniem terenu i ogrodzeniem. Wierzę jednak, że do tego nie dojdzie. W zarządzie oceniamy, że władze miejskie w Słupsku w stosunku do ogrodów działkowych w Słupsku prowadzą właściwą politykę prospołeczną. Jeśli zachodzi potrzeba to uczestniczymy w negocjacjach z miastem i doświadczenie pokazuje, że w wielu przypadkach kończą się one z korzyścią dla nas, działkowców.

**Rozmawiał:
Czesław Kowalczyk
Słupsk**





Grenlandia, mój drugi dom

– Jestem najlepsza z najlepszych, najtwardsza z najtwardszych. Będę ciągnąć twoje sanie, choćby śnieg sięgał po brzuch, a huragan mroził nos. Choćby przyszło mi głodować tygodniami, zaciągnę cię na biegun. A jak pod twoimi saniami załamie się lód na morzu albo wątyły most nad szczeliną lodowca, nie poddam się, choćby łapy ślizgały się po gładkim lodzie, a pazury wyłamywały do krwi. Zrobię wszystko, by cię wyciągnąć z tarapatów. Póki żyję, będziesz żył i ty.

Mieszka od dzieciństwa w Objeździe, tu skończył szkołę podstawową, dalsze nauki pobierał w Słupsku, Gdańsku i Poznaniu, ale dom rodzinny, a teraz i własny ma w naszej wsi. Przy domu na maszcie przez cały rok powiewają dwie flagi: biało-czerwona i druga też złożona z pasów białego i czerwonego z umieszczoną na nich w środku dużą tarczą czerwono-białą, symbolizującą wschód słońca do połowy zanurzonego i odbijającego się w morzu. Taka flaga została przyjęta przez mieszkańców Grenlandii w 1985 roku i nazywana jest Erfalasorput, co znaczy „nasza flaga”. Mimo że wyspa powiązana jest prawnie i politycznie z Danią, ostatni rdzenni Inuici, mieszkańcy wyspy, żyją jeszcze według dawnych praw. Co nie znaczy, że europejska cywilizacja nie kusi ich łatwiejszym życiem i związanymi z tym problemami.

Kiedy Norbert Pokorski rozbija swój namiot polarnika w północno-zachodniej Grenlandii w Qaanaaq, (Thule), jednej z najdalej na północ położonych miejscowości świata i jeszcze dalej na północ, w oddalonej o około 5-6 dni marszu (56 km)



Fot. Fb.com/norbert.pokorski.7

osadzie Siorapaluk, gdzie w ostatnim czasie mieszka garstka, około dwudziestu Inuitów, zawiesza biało-czerwoną flagę. Mieszkańcy Siorapaluk to

ostatni polarni myśliwi w skórzanych tradycyjnych ubraniach, wykorzystują psy wachlarzowe zaprzęgi i polują harpunami, jak ich przodkowie.

Norbert Pokorski dotarł do Siorapaluk - w 2011, 2013 i podczas ostatniej siedmiomiesięcznej wyprawy w 2017 roku. Nie zapomina, kim jest, ani komu powinien podziękować za naukę, której nie wynosi się ze szkoły. Z wdzięcznością wspomina Wojtkę Moskała i Marcina Węslawskiego z Arctic Ecology Group, którzy nauczyli go, co to znaczy być polarnikiem.

„Wojtek Moskał z trzema kompanami w 2000 roku przeszedł trasę z Wyspy Ellesmere’a przez Basen Kane’a do Qaanaaq. To była pierwsza wyprawa, która przeszła tę drogę na nartach, a nie jechała psimi zaprzęgami. I ostatnia wyprawa, która to zrobiła. Tam mało kto chodzi, teren prawie nie eksplorowany. Wojtek Moskał w ogóle jest pionierem w robieniu dziwnych rzeczy. To człowiek, który lód wyssał z mlekiem matki. Guru polarny.”

To jednak tylko teoria. By zdobyć doświadczenie, samemu trzeba poczuć smak lodu. W 1998 roku Norbert wyprawił się sam na Spitsbergen. Miał ambitny plan: „Trawers z północy na południe. 1100 kilometrów zrobić. Wyszedłem z Longyearbyen. Nie mogłem rozstawić namiotu, nie potrafiłem kuchenki rozpaścić. Dwa dni posiedziałem w tych lodach i stwierdziłem: Chłopie, co ty tutaj robisz?! Podwinąłem ogon pod siebie i uciekłem stamtąd. Zwyczajnie nie poradziłem sobie. Musiałem się jeszcze sporo uczyć...”

Najpierw w Polsce. Bieszczady, Karkonosze, potem finanse i odpowiedni sprzęt. Na wszystko trzeba zapracować: „Wszystkie wyprawy robię za swoje pieniądze. Nie mam żadnych sponsorów. Każdą wyprawę finansuję z własnej kieszeni, a to kosztuje. (...) Jestem zwykłym, przeciętnym obywatelem, który zarabia średnią krajową i z tego musi utrzymać siebie, spłacać kredyt na budowę domu, mieć na życie, kupić żarcie dla psa, kotów i jeszcze odłożyć na wyprawę.” Sposobem na taką niezależność finansową jest praca za „fajerą” tira na zaśnieżonych drogach Norwegii.

W końcówce lat dziewięćdziesiątych, jeszcze w czasach studenckich, odbył podróże stopem do Hiszpanii, pracował w barze szybkiej obsługi w Marina di Ravenna koło Bolonii, później (1988) północna Norwegia, dwa tygodnie z Paolo Volponi na wyspie Bleik, gdzie zbierał materiały do magisterki z ornitologii (maskonury), zimowa trasa z Kołobrzegu do Łeby, praca leśnika i wędrowki po Słowiń-

skim Parku Narodowym. Niby nic, ale by wyruszyć w najdalszą podróż, trzeba zdobyć predyspozycje psychiczne i fizyczne. Mimo to, twierdzi Norbert: „nie każdy nadaje się w Arktykę. (...) Większość z tych, z którymi chodziłem „na lody” ma ten sam problem: 2-3, maksymalnie 4 tygodnie w lodach i koniec - organizm do regeneracji”.

Tak też się stało podczas ostatniej wyprawy w 2017 roku na Grenlandię. Jego towarzysz Marek Połchowski wytrzymał bez problemu przez trzy tygodnie, później zaczęły się odmrożenia, brak wydolności przy rozstawianiu sprzętu, nieostrość, która mogła skończyć się tragicznie, bo wpadł do szczeliny. W północnej Grenlandii nie ma służb ratowniczych. Trzeba liczyć na siebie i rozsądek, siły towarzysza i szczęśliwy przypadek. Marek przeżył wyprawę po 69 dniach, bo nie mógł wcześniej, lądując w szpitalu w Polsce. Wytrzymał tylko dzięki nadzwyczajnej determinacji, rozumiejąc, przed czym go wcześniej Norbert

nym czy radioboją. Dwa lata później, w 2005 pokonał czterystakilometrowy trawers Ziemi Baffina wspólnie z Wojciechem Grzęzlikowskim. Piękna wyprawa, podczas której urzekła ich uroda Arktyki kanadyjskiej i ludzie tam żyjący: przyjaźni, wrażliwi, twardzi, ale o gorących sercach. Potem były cztery lata przerwy w wyprawach polarnych, ale żyć bez wojaży trudno, stąd podróż na Islandię, w północne rubieże Rosji, do Ameryki Południowej w 2008 roku - Torres del Paine, gdzie część łańcucha górskiego znajduje się w Parku Narodowym.

Później kolejne wyprawy. W 2009 trawers Grenlandii, w 2011 z Michałem Bobrukiem, eksploracja, podczas której mieli zamiar dojść z Qaanaaq do osady Grise Fjord na południowym krańcu wyspy Ellesmere’a na Archipelagu Arktycznym - zakładając, że to czterdzieści dni marszu. Norbert opowiadał miesięcznikowi „Poznaj Świat” o przeżytej wówczas przygodzie: „podczas próby wejścia na wyso-



ostrzegal: „Tu nie możesz liczyć na ratunek, tylko twoja siła i twój partner są twoją nadzieją.”

Do działania w zimnie trzeba trenować, ale ważne są też predyspozycje indywidualne, to tak, jak z Kenijczykami w maratonie. Do ostatniej siedmiomiesięcznej wyprawy w 2017 roku prowadził Norberta długi czas cierpliwych, szczegółowych przygotowań.

W 2001 roku wyprawa na Spitsbergen i wejście na Newtontoppen w pięcioosobowej grupie. W 2003 - Kanada, samotna wędrowka na Baffian Island, trudna z powodu zimna, bez zabezpieczenia telefonem satelitar-

ki brzeg załamuje się pod mną lód i wpadam po pas do wody razem z przewieszoną przez ramię bronią. Michał pomaga mi się wygrzmolić z kąpieli. Zmieniam rękawiczki na suche, rozkładam broń na części, by łatwiej wykruszyć lód, wyciągam z kieszeni baterie i GPS (na szczęście wodoszczelny). Temperatura sięga minus 30°C, ale polarowe ubranie i wełniane skarpety, mimo że są mokre, zapewniają wystarczającą izolację przed mrozem i nie muszę ich od razu zmieniać.”

Wyprawa nie osiągnęła celu z powodu braku wystarczającej pokrywy lodowej. Nie szkodzi. Dla Norberta

nie cel, ale sama wyprawa jest przyjemnością. Rozpoznawanie własnych możliwości, poznawanie ludzi, krajobrazów są wystarczającą motywacją, by zaczynać wszystko od początku. Nie ma w tym żadnej misji, ideologii, jest po prostu zew, któremu z radością się poddaje.

Dlatego w lipcu 2012 roku spakował do skrzyni wszystko, co potrzebne polarnikowi, zawiózł samochodem do Aalborga na północy Danii, nadał na statek kursujący dwa razy w roku na Grenlandię. Po miesiącu przesyłka dotarła do Qaanaaq. Odebrał ją i przechował do jego przyjazdu w końcu lutego 2013 roku zaprzyjaźniony właściciel hotelu - Hans Jensen. Rozpoczęła się kolejna samotna wyprawa, podczas której poznawał ludzi, zawiązując przyjaźnie, ucząc się życia Inuitów.

W międzyczasie w 2014 roku odbył dwie ponadtygodniowe wyprawy do Hardangervidda, na największy górski płaskowyż w północnej Europie, do największego parku narodowego w Norwegii i jeszcze siedemnastodniową wędrowkę na Spitsbergen, 350 kilometrów.

Kiedy organizował wyprawę w 2017 roku, wspólnie z Markiem Polchowskim, sprzęt dotarł w takim samym trybie, czyli statkiem, najtaniej i pewnie. Miał już w Qaanaaq serdecznych przyjaciół: braci Piitaa, Qillaq, Rasmus i Prebena, Juulut, Marten, i ich rodziny, żony i dzieci. I psy. Od 2011 roku od Piitaa i Qillaq uczył się, co każdy dobry myśliwy w Thule (Qaanaaq) powinien wiedzieć. Inuici chętnie dzielą się wiedzą z tymi, którzy chcą być jak oni piniaktohulak (wielki myśliwy).

W połowie lutego razem z Markiem dotarli do Qaanaaq, by odbyć trzymiesięczną wyprawę przez północną Grenlandię. Rozpakowali skrzynię, którą najpierw trzeba było odkopać spod metrowej warstwy śniegu. Przywitał ich Avanganq, północny wiatr o sile huraganu, który nie ustępował przez trzy dni. „Rozwalił” lód na morzu na północ od Siorapaluk, gdzie dotarli po tygodniu marszu, dlatego trzeba było zmienić trasę. Poszli nad Kane Basin (Basen Kane’a) przez lądolód, wciągając sanie obciążone dwustukilogramowym bagażem na wysokość 1200 metrów. Posuwali się wolno przy ponadczterdziestostopniowym mrozie i wzmagającym chłód wietrze przez dwanaście dni, łagodząc trudy dnia wieczorem, wsłuchując

się w odgłos pracującej w namiocie kuchenki, pod prawą ręką trzymając broń, zabezpieczenie przed niedźwiedziem i wilkami. Z powodu odmrożeń Marka, zatrzymali się w myśliwskiej chacie Aunnartoq, domku na końcu świata, najpiękniejszym miejscu na Ziemi. Spotykali po drodze ostrożne wilki i zające, teraz odwiedziła ich niedźwiedzica z dwoma maluchami, odważnym chłopczykiem i trzymającą się futra mamy dziewczynką. Natrętną mamę, zwabioną zapachem jedzenia, odegnali świetlnymi pociskami. Towarzyszyły im wilki, myśliwi z Siorapaluk twierdzą, że ich mięso jest smaczne, a skóry ciepłe. Dobrze na rękawice. Nie, nie będą polować. Muszą wrócić do Siorapaluk, skąd Marek psim zaprzęgiem popędzi do Qaanaaq, a stamtąd jak najszybciej do Polski, do szpitala. Tymczasem po morskim łodzi, ze słońcem bez ciepła, ale z kilkugodzinnym światłem ciągną dwustukilowe zestawy sań. Bez trudu pokonują po gładkiej powierzchni kilkanaście kilometrów dziennie, pośród mnóstwa zajęcy, które włożą niemal pod nogi, zupełnie się nie boją.

Grenlandia daje żywność swym myśliwym. Przysmakiem i źródłem witaminy C jest mattak, czyli skóra narwala na surowo, suszone mięso, smakuje rosół i mięso z zająca, świeżo zebrane małże, ugotowane w osolonej wodzie alczyki, lub kiszzone mięso i ptaszki. Są świetnym uzupełnieniem przywiezionych zapasów: kaszy gryczanej liofilizowanej z warzywami i innych suchych produktów wprost z „Biedronki”.

Inuici przestrzegali ich przed niedźwiedziami, inteligentnymi i bezwzględными, gdy są głodne lub czują się zagrożone, mimo że bardziej niebezpieczne są morsy. Problemem są też wilki, które podchodzą pod osady. Grenlandczycy zbierali podpisy, by podjąć działania w tej sprawie.

Marek odjechał. Byli razem 69 dni, po jego odejście Norbert włączył się w życie osady: bierzmowanie, ślub, święto narodowe, czyli Inuijattut, ale z powodu niedawnej tragedii w Nuugaatsiaq, gdzie do morza zsunęło się zbocze góry z chatami, flagi są opuszczone do połowy masztu, ale przyjęcie się odbywa. W pomoc zaangażowały



się wszystkie osady gminy Uumman-naq. Norbert czuje się jak John Drum-ber grany przez Kostnera w „Tańczącym z wilkami”: „nigdy wcześniej nie spotkałem tak wesołych, uśmiechniętych, skorych do zabawy, oddanych rodzinie, przyjaznych i życzliwych ludzi. I jak nie być zakochanym w tym cudownym zakątku Arktyki”.

Za kilka dni ruszą z Piitaaq przygotować miejsce do polowania na narwale. Jadą psim zaprzęgiem, co wcale nie jest łatwe, dlatego Norbert jest pasażerem, uczy się sztuki powożenia, operowania batem, który wcale nie służy do bicia. Na trzydniowe polowania na fokę, połów halibutów, ojcowie zabierają sześciolatek dzieci, tyle właśnie ma Panina, który jedzie z ojcem.

Czerwiec spędził z Piitaaq łowiąc halibuty zestawem z tysiącem haków w okolicy Qaanaaq i Qeqertat. Wracali siedemdziesiąt kilometrów psim zaprzęgiem, tempem około dziesięć km na godzinę. Piniaktohulak, czyli wielki myśliwy potrafi zrobić kajak, sanie, harpuny, atalak, czyli pływak z foczej skóry do polowania na narwale, zapolować i uszyć odzież ze skór niedźwie-

dzia, wilka, foki. Kiedy wiatr połamie lód i uwolni morze, woduje się kajaki i wyprawia na narwale. Kiel narwala dostaje myśliwy, może go sprzedać na kolczyki, wisioriki, za jakieś 5 do 15 tys. DKK. Norbert uczestniczył w polowach i polowaniach, żył jak żyją oni, Inuici. Kiedy skończyły się połowy halibutów, bo przetwórnia była pełna, a lód na morzu był coraz gorszy i wszyscy czekali na statek z towaram do sklepu, postanowił ruszyć kajakiem na północ, szukać śladów dawnych Inuitów. Samodzielnie chciał łowić alczyki, zrobić z nich kivaq, zbierać jaja kaczek edredonów, polować na fokę, a może zapolować na narwala. Przeżył tu w namiocie już pięć miesięcy.

16 lipca rozpoczął samotną wyprawę kajakiem na północ. Do Siorapaluk przypłynął o północy po trzeciej próbie pokonania wysokiej fali wywołanej wiatrem i prądami morskimi. Zabawił trzy dni: odwiedzał znajomych, zbierał agaty. Później dotarł do Neqe, gdzie przez tydzień czekał na zmianę pogody, wypełniając czas polowaniem. Czeką go stukilometrowa trasa powrotna, pokonał ją w tydzień. Ogarnia go smutek, bilet zbukowany na 23 sierpnia. Ciężko będzie żegnać Grenlandię. Przez Siorapaluk zmierzają do Qaanaaq. A tam „oprócz Prebena, jego rodziny i wielu mieszkańców Qaanaaq wita mnie po powrocie „z lodów” szczeniak Prebena, suczka o imieniu Pikaczu. Od razu zajmuje moje sanie tak, jakby chciała mi powiedzieć: „A jak będę duża, to też pójdę z tobą na północ. Bo ja jestem grenlandem, prawdziwym, najtwardszym psem Arktyki. Nieważne, że jedzenie zmrożone na kość i jest to tylko sam makaron - mam mocne zęby, dam radę go zgryźć. Urodziłam się zimą, w śnieżnej zaspie, kiedy mrozy sięgały -40 C, a wiatry nie dawały spokoju. Ja przetrwałam. Choć niektórzy z moich braci i siostr nie przeżyli. Nie potrzebuję budy. Moją kołdrą jest śnieg, moim posłaniem lód. Nie trzeba mi wygod, bo wiem, co znaczy twarde życie w Arktyce. Nie mam rodowodu, papierów hodowlanych, przeglądów, nie zarejestrowali mnie w związku kynologicznym, ale możesz być pewien, jestem najczystszy grenlandem. Moi rodzice i dziadkowie od zawsze ciągnęli zaprzęgi myśliwych w najodleglejsze rejony Grenlandii i kanadyjskiej Arktyki. Nie musisz jeździć ze mną na wystawy, abym dostała ocenę doskonałą, bo już wystawiła mi ją Arktyka. Jestem

najlepsza z najlepszych, najtwardsza z najtwardszych. Będę ciągnąć twoje sanie, choćby śnieg sięgał po brzuch, a huragan mroził nos. Choćby przyszło mi głodować tygodniami, zaciągnę cię na biegun. Nie znam strachu, nie wiem co słabość, a jeśli będzie trzeba ostrzegę cię przed niedźwiedziem polarnym i ruszę na niego, aby dać ci czas na przygotowanie się do obrony. A jak pod twoimi saniami załamie się lód na morzu albo wątył most nad szczeliną lodowca, nie poddam się, choćby łapy ślizgały się po gładkim lodzie, a pazury wylamywały do krwi. Zrobię wszystko, by cię wyciągnąć z tarapatów. Póki żyję, będziesz żył i ty. A za wszystko wystarczy mi co jakiś czas zmrożony kawał mięsa. Bo jestem grenlandem, najbliższym krewnym tutejszego wilka i tylko twoja Akita może się ze mną równać, ale jej tu nie weźmiesz, bo nie wolno. Więc jak? Pójdziemy razem na północ...? - Pikczu, szykuj się, mamy umowę! Bo to nie jest miejsce dla słabych”.

Przytoczyłam ten fragment zamieszczony przez Norberta Pokorskiego na jego profilu na fb z kilku powodów. Po pierwsze, by pokazać jego talent literacki. Spełnienie prośby wielu znajomych o zapisanie w formie książkowej jego przygód polarnika byłoby niemałą czytelniczą gratką. Po drugie, ten twardeł ma serce dziecka, skoro potrafi z taką czułością wejść w psią skórę. Wzruszyło mnie opowiadanie o małej Pikaczce.

Siedmiomiesięczny pobyt dobiega końca. Ogarnia go smutek również z powodu schyłku najwspanialszej kultury polarnych Inuitów. Giną dawne zwyczaje, umiejętności, sposób życia. Podczas każdego kolejnego pobytu Norbert uświadamia sobie, że staje się mimowolnym świadkiem ginącej kultury i choć nie ma wpływu na zachodzące na Grenlandii procesy społeczne i klimatyczne, chce być świadkiem życia ostatnich polarnych Inuitów.

Kilka dni po powrocie Norbert znów siadł za kierownicą ciężarówki. Przez kilka miesięcy będzie zarabiał na kolejną podróż do Grenlandii, ale ma też w planie podróż z żoną do Australii, Nowej Zelandii, we wrześniu 2019 roku wyjazd na Islandię w ramach polskiej edycji projektu Mars On Earth. I jeszcze na Antarktydę, na grób swego idola sir Ernesta Shackletona. Nie, to nie koniec planów, tylko by starczyło na wszystko kasy i czasu.

A znajomi dopominają się o książkę.

Czesława Długoszek, Objazda



Fot. fb.com/norbert.pokorski.7

Podejmując temat kultury dotyczącej środowiska współczesnej wsi, należy najpierw przypomnieć znaczenie dwóch pojęć: kultury i tradycji. Pojęcie kultury wywodzi się z rolnictwa, w starożytności terminem tym określano uprawę roli. Współcześnie jednak jest terminem niezwykle rozległym i powszechnie stosowanym.

Słowo kultura pochodzi bezpośrednio od łacińskiego *culturus agria* (uprawa ziemi), ale z czasem zaczęto go używać i stosować w znaczeniu znacznie szerszym, przenosząc owo pojęcie pielęgnowania, doskonalenia i kształcenia również na inne dziedziny życia.

To Ciceron, który żył w pierwszym wieku przed naszą erą, użył go najpierw w znaczeniu *cultura animi* (uprawa umysłu), co potem spowodowało bezpośrednie przeniesienie tego pojęcia z obszaru zwykłych prac związanych z rolnictwem, na szerokie pole pielęgnowania i kształcenia wszystkiego, co wiąże się z ludzką duchowością.

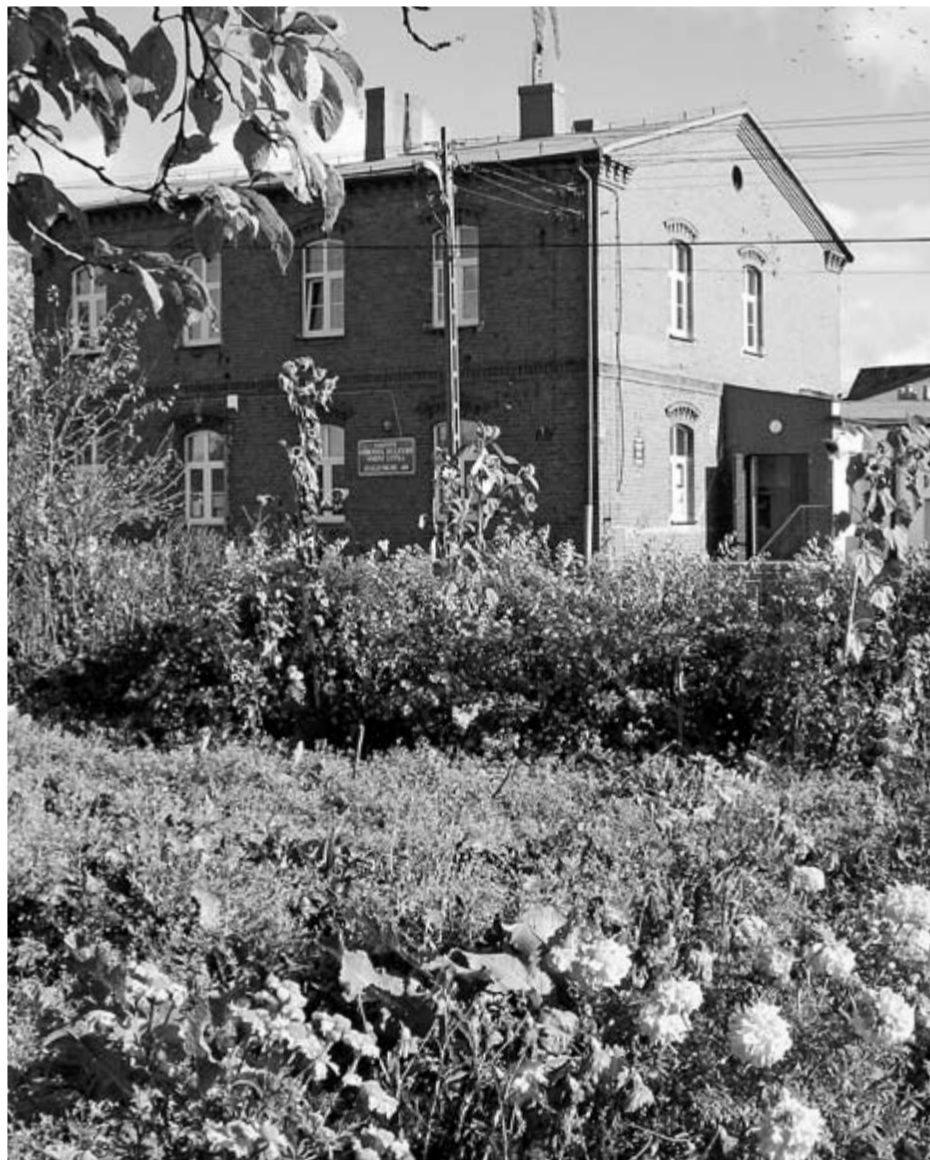
Współczesną kulturę, określaną także mianem wielokulturowości, tworzą dwa główne komponenty. Są nimi komponent materialny, związany z materialnym wytworem rąk, serc i umysłów ludzkich i komponent intelektualny, stanowiący zbiór przekazywanych z pokolenia na pokolenie ich wytworów duchowych.

Pojęcie tradycji jest pojęciem znacznie węższym, czasami niesłusznie funkcjonującym zamiennie z kulturą, gdyż oznacza jedynie przekazywanie z pokolenia na pokolenie takich treści kultury jak obyczaje, poglądy, wierzenia, sposoby zachowania, interpretacje zjawisk, czy kształtowanie norm obyczajowych.

Rozdzielenie tych dwóch pojęć przy wszelkich analizach sytuacji dokonywanych wobec wsi współczesnej, jest niezbędne chociażby po to, by wzajemnie ich nie mylić, nie uogólniać i nie wyciągać pochopnych wniosków.

Nie można zatem zgodzić się z często przywoływanymi tezami o zaniku kultury wiejskiej. To raczej tradycje zanikają, ulegają zapomnieniu, zamianie na bardziej współczesne i przystosowywane do wymogów teraźniejszości. Ginie wieś dawna, z zacofaniem technicznym i duchowym włącznie, ale jej miejsce nie pozostaje puste, wchodzi w nie nowoczesność.

Kulturą na wsi w obszarze materialnym pozostaje cały szereg nowoczesnych technik uprawy ziemi wraz



Współczesna wieś bez kultury?...

Współczesnemu państwu „z powyłamywanymi zębami kapitalizmu” nie zależy na funkcjonowaniu bibliotek, bo... kultura jest produktem ubocznym, nie przynoszącym kapitalistom zysku, na kulturę można jedynie łożyć altruistycznie, a ponadto przecież „ona sama potrafi się obronić, utrzymać.”

ze służącymi jej urządzeniami (maszynami), a w obszarze duchowym - przekazywanie umiejętności korzystania z nich i wszelakie stosowanie płynących z nich pożytków w życiu codziennym.

Skoro nawiązałem do czasów Cicerona, nie można tak z rozpędu

przejszć do teraźniejszości. Po drodze przecież były epoki bardzo źle wpisujące się w historię polskiej wsi. Były czasy wpisujące się trwale w budowanie wielu złych stereotypów dotyczących jej zacofania, staroświeckości i służalczości wobec innych nacji, jak chociażby „pana, wójta i plebana”.

Były czasy tworzenia obrazów wsi poddańczo-pańszczyźnianej, przymusowo kolektywizowanej wsi kołchozowej, wsi luźnych chłopskich związków rolnych (kółek rolniczych), a do tego rozwarstwionej hektarowo i zezwalającej zaledwie na przeżycie, co w założeniu ideologii socjalistycznej miało uniemożliwiać jej związki z kapitalizmem.

Każdy z tych obrazów wsi dawnej był przejmująco niesprawiedliwy, gdyż katorżnicza praca chłopą, rolnika, przez wieki służyła nie tyle jego rodzinie, ile przede wszystkim: najpierw kościołowi, szlachcie i magnatom, potem państwu.

Chłop był niewolnikiem, który musiał uprawiać ziemię prymitywnymi narzędziami, oddawać pańszczyznę i daninę, chłopą można było wraz z całą wioską przegrać w karty, sprzedać. Wobec chłopą obowiązywały inne prawa, chłop był traktowany jako parobek, sługa, najemnik etc.

Nawet w okresie powojennym, gdy w Polsce uwłaszczono chłopów, prawa wsi podporządkowane zostały rozwojowi całego kraju, włączone w planowy rozwój gospodarki. Z ograniczonego powierzchniowo gospodarstwa - pamiętamy przecież głośny problem kułactwa z lat 50. - chłop musiał płacić wysokie podatki, dostarczać państwu w ramach obowiązkowych dostaw określone plody rolne (ziemniaki, zboże i trzodę chlewną), odrabiać przymusowe szarwarki (czyszczenie rowów, meliorowanie pól i łąk, wykaszanie i usuwanie przydrożnych i przykolejowych traw i chaszczy).

To wszystko rzutowało nie tylko na rozwój tej w pozytywnym rozumieniu tradycji i kultury wiejskich, ale przede wszystkim na ukształtowanie się obrazu chłopą jako kogoś gorszego - chociaż przecież ogromnie znaczącego w łańcuchu trwania narodu - i zacofanego (mimo iż z nie własnej winy), oraz poniżanego w znaczeniu społecznym.

W społeczeństwie klasowym, jakie trwało jeszcze do czasu transformacji ustrojowej końcówki lat 90. ubiegłego wieku, istniała klasa chłopska, a pochodzenie chłopskie wiązało się nie tylko z przynależnością do roli (ziemi), lecz również do wiejskiego ubóstwa i zacofania. Dzieci chłopów przez długie lata w historii kraju nie miały szans, by dostać się na studia i wyrwać z okowów przynależności rodowej związanej z chłopstwem.

Dopiero w końcówce XX wieku, gdy ogólne warunki gospodarcze i kulturowe kraju zbliżyły się do europejskich, na problem wiejskiego zacofania zaczęto patrzeć szerzej, zaczęto wyrównywać szanse traktowania wsi i jej rozwoju z poziomem europejskim.

Moim marzeniem, jako syna chłopskiego, było zostać lekarzem lub biologiem... To było jednak „marzenie ściętej głowy”, ostatecznie mój wybór mógł się ulokować między księdzem, a oficerem. Wybrałem szkołę oficerską, bo... nauka była tam za darmo, a do tego państwo dawało mi wszystko (byle jakie, skromne, ale zaspakajające podstawowe potrzeby); darmowe lokum w żołnierskiej sali, wyżywienie, mundur (zamiast odzieży), żołd (na papierosy i środki czystości), bilet (okresowy) na przejazd koleją w celu odwiedzenia rodziny.

Nie o socjalizm więc chodziło, ale o przetrwanie w pierwszej kolejności. Pobudki patriotyczne wszystkie szkoły szczepiły młodzieży przez cały czas, a przyjaciół i wrogów tworzyła historia na bieżąco.

Myliłby się ten, kto by twierdził, że obecnie sytuacja jest już zadawalająca, polska wieś dołączyła do standardów europejskich, a kultura i tradycje wiejskie mogą rozwijać się bez ograniczeń. Współcześni analitycy tematu najczęściej nie zauważają uwarunkowań z poprzedniej epoki. Zapominają, że ową kulturę i tradycje w okresie powojennym czasów PRL kształtowało przede wszystkim: - po pierwsze - samo państwo; - po drugie - kształtowała ją konieczność dziejowa wynikająca z braku innych środków komunikacji i możliwości wzajemnego kontaktu; - po trzecie - silne związki z minionymi epokami i z katolicyzmem.

Stosując gospodarkę planową, w PRL wieś widziano przede wszystkim jako głównego dostawcy środków żywności. Owszem, powstawały w późniejszych latach plany, koncepcje poprawy sytuacji w rolnictwie, w tym sytuacji bytowej rolników i ich rodzin, jak przykładowo budowanie sławetnego sojuszu robotniczo-chłopskiego i ideowe wiązanie wsi z miastem („Chłop - miastu żywność, robotnik - wsi plugi i lemiesz”), ale większość z tych posunięć miała głównie charakter propagandy. Obawy przed powstaniem na wsi tendencji o charakterze kapitalistycznym, uzależnienia się chłopą od pań-

stwa, były zbyt znaczące, by sytuację tę zmienić.

I znów posłużę się przykładem z własnego podwórka. Gdy zdolności mojego ojca do lepszego gospodarowania od innych sprawiły, że zbudował pierwszą dużą szklarnię na wsi i zaczął hodować w niej oraz sprzedawać na targu w miasteczku, nowalijki, ogórki i pomidory, władze ogłosiły go kułakiem. Zorganizowano zebranie wiejskie potępiające jego działalność, w wyniku czego najpierw obrzucono go burakami, następnie zniszczono mu jego szklarnię, a do naszego sadu wpędzono stado bydła z pobliskiego kołchozu. Mało tego, my dzieci kułaka (miałem jeszcze trzy siostry) także przez jakiś czas cierpieliśmy z tego powodu. Pamiętam, jak unikając prześladowań sąsiadów, do szkoły wychodziłem z domu przez okno i docierałem tam przez pole.

Państwo każde swoje posunięcia gospodarcze wiązało z ideologią. I bardzo wnikliwie na każdym etapie rozwoju kraju oceniało sytuację na wsi. Dlatego też, by nie dopuścić do jakiegokolwiek buntu chłopów, by umiejętnie mobilizować wieś do maksymalnego wysiłku „w duchu socjalistycznego rozwoju Ojczyzny” (żywność potrzebna była nie tylko Polakom, ale w ramach handlu wymiennego z krajami bloku socjalistycznego również innym, w tym ZSRR), na wsiach - co dzisiaj może wydawać się dziwne - dbano o biblioteki, powstawały klubokawiarnie młodzieżowe organizowane przez RUCH, specjalną troską otaczano świetlice wiejskie przy remizach strażackich, gdzie przede wszystkim odbywały się zebrania wiejskie, ale także można było urządzać w nich zabawy ludowe, wykorzystywać je do działalności organizacji stowarzyszeń wiejskich, jak Kluby Gospodyń Wiejskich, czy zespoły ludowe.

Państwo dbając i planując rozwój kultury na wsi, brało i to pod uwagę, że miała ona skutecznie przeciwstawiać się nadmiernemu rozwojowi tradycji chrześcijańskich, kościelnych. Preferowano, czy okresowo nawet wymuszano na społeczeństwie laicyzację.

Pamiętajmy, że w Polsce czasów PRL zacofanie techniczne było bardzo wysokie. Podobnie było w pozostałych państwach bloku wschodniego. Żelazna kurtyna to nie była tylko bariera dla ludności, która nie mogła wyjeżdżać na Zachód. To prze-

cież przede wszystkim była bariera blokująca postęp techniczny i korzystanie z nowoczesnych technologii. Nie było żadnych możliwości zakupu nowoczesnych maszyn i sprzętu dla rolnictwa.

Dopiero lata politycznej odwilży za rządów E. Gierka rozluźniły nieco te bariery. Na polską wieś zaczęły docierać specjalistyczne maszyny rolnicze, pojawiły się wielofunkcyjne kombajny, ciągniki i wysoko specjalistyczny sprzęt ułatwiający uprawę ziemi już nie na poziomie kilkunastotarych gospodarstw obrabianych końmi, ale umożliwiający produkcję rolną na polach o areale kilkudziesięcio-, a nawet kilkusethektarowym. Do tego doszły nowoczesne środki ochrony i otwarcie na zewnątrz powodujące możliwość rozszerzonej wymiany towarowej i eksportu.

Podobnie było z komunikacją zewnętrzną ludności. Telefon, telewizor, radio stereo były luksusem, a o takich urządzeniach jak komputer, laptop, tablet, komórka nikt nawet nie wiedział.

Potrzeby wzajemnego kontaktu między ludźmi na wsi zawężyły się do tradycyjnych form ich zaspakajania w sposób bezpośredni, poprzez organizowanie zespołów, chórów, grup zajmujących się kulturą ludową, najczęściej w formie upowszechniania muzyki i śpiewu. Sporadycznie uciekano się do kabaretu, teatru, recytacji, czy też zorganizowanych grup zajmujących się sztuką rękodzielniczą, malarstwa i rzeźby.

Tak czy owak, były to jednak działania w obszarze kultury wywołane z potrzeby serca, z naturalnych potrzeb ludzi szczególnie uzdolnionych, ludzi, którzy - przede wszystkim w tych trudnych czasach swoistego zniewolenia fizycznego i duchowego - dawały pozory odrobiny wolności, pozwalały na odskocznnię od trudów dnia codziennego, pobudzały do aktywności w imię kontynuacji tradycji bądź to narodowych, bądź własnego doskonalenia się w czymś, czego może z prostej przyczyny zmuszenia ich do życia na wsi, w inny sposób wykonać nie mogli.

Owszem istniały wyjątki. Państwo wspierało niektóre, narodowe formy rozwoju kultury, by pokazywać światu tę odmienną twarz socjalizmu - rzekomej wolności, kwitnącej kultury, kultury bogatej w tradycje narodowe... W bardziej sprzyjających wa-

runkach korzystała z tego czasami i polska wieś.

Jak to wszystko zatem ma się do czasu współczesnego, w którym teraz żyjemy, tworzymy i... dyskutujemy o dawnej kulturze i tradycjach wiejskich?

Przed wszystkim niedoinwestowanie w wieś, jaka nam pozostała po PRL jest nadal ogromne. Transformacja ustrojowa spustoszyła PGR-y, likwidacja przedsiębiorczości wiejskiej na poziomie socjalistycznym również dotknęła wieś głęboko, nie dając prawie niczego w zamian. Praktycznie na naszych oczach rozpadały się cukrownie, drobne przetwórnictwa rolne, tartaki, cegielnie itp.

Upadły nawet wiejskie biblioteki; współczesnemu państwu „z powyłamywanymi zębami kapitalizmu” nie zależy na ich funkcjonowaniu, bo... kultura jest produktem ubocznym, nie przynoszącym kapitalistom zysku, na kulturę można jedynie łożyć altruistycznie, a ponadto przecież „ona sama potrafi się obronić, utrzymać” i... No właśnie. Tam, gdzie gospodarz terenu (władze lokalne) przykładą większą wagę do powiązań kultury regionu z gospodarką, gdzie istnieją jakieś związki trwale jednoczące wiejską kulturę ze społeczeństwem, gdzie rzutują one na rozwój gospodarki kapitalistycznej, tam generalnie jest lepiej, istnieją i rozwijają się zarówno ośrodki kultury, jak i utrwała się sprawowany nad nią przez władze mecenat.

Powyższy problem należy także rozpatrywać w aspekcie woli politycznej rządzących, ich mądrości, rozumienia roli i znaczenia kultury narodowej i kultury regionu, środowisk w tym i całej wsi polskiej. W aspekcie umiejętnego wykorzystania środków unijnych, znajdowania sponsorów, wiązania kultury społecznej z przemysłem i gospodarką regionu. Gdy tego się nauczymy, gdy te mechanizmy zaczną funkcjonować sprawnie, znikną zapewne obawy środowisk bezpośrednio związanych z kulturą (pisarzy, poetów, malarzy, rzeźbiarzy, artystów) o jej przetrwanie.

Nie zniknęli przecież ludzie, którzy zawsze swoje życie głęboko wiązali z twórczością - jaką by ona nie była - wiązali je z kulturą, hołubili tradycje przodków, pielęgnowali obyczaje: wiejskie, rodowe i związane ze społecznościami, w których pozostaje im żyć na co dzień.

Osobiście mam nadzieję, że to także kolejny okres przejściowy, że za kilkanaście lat sytuacja zmieni się dla kultury wiejskiej na lepsze, że całkowicie zanikną przepaści, jakie kiedyś dzieliły intelektualnie ludzi ze wsi ze środowiskami miejskimi, że... wcale ani kultura, ani tradycje wiejskie nie tylko że nie zaginą, a wręcz przeciwnie - rozwiną się z jeszcze większą mocą, gdyż...

Po pierwsze - życie na wsi, zawsze związane z cięższą pracą fizyczną, z większą odpowiedzialnością za otoczenie (zwierzęta, płody rolne i rodzinę), z obowiązkowością (nie da się przecież nie wydoić krowy, nie dokonać regularnego obrządku bydła itp.), wyjątkowo hartuje ciało i ducha człowieka.

Po drugie - życie w otoczeniu przyrody nie umniejsza naszych wartości, ale ubogaca człowieka, uduchawia go, daje poczucie wolności, świeżości i uczy kontaktu ze światem zewnętrznym. Uczy szacunku do przyrody, do siebie i innych.

To są wartości niezbywalne. Mnie osobiście zimą w murach miasta zawsze wielu z nich brakuje. Dlatego nie obawiamy się, przetrwa dążeń człowieka do trwałych związków z przyrodą. Przetrwa i nawet w najbliższych czasach umocni się związek ludzkości ze światem zwierzęcym i roślinnym - przyroda sama wymusi to na nas.

Wieś nigdy nie zdevaluje się w rozumieniu jej wartości materialnych i duchowych. Sztuczna żywność, to żywność która powoli zabija. Prawdziwe życie, to życie na wsi. Dlatego ci, którzy z różnych powodów kiedyś ją porzucili, budują wokół siebie chociażby miniaturowe oazy szczęścia związanego z jej istnieniem; ogrody, zwierzyńce, ptaszarnie.

Dla poetów i innych „utrwalaczy” wartości związanych ze środowiskiem wiejskim (pisarzy, artystów, malarzy, rzeźbiarzy) wieś zawsze pozostanie inspiracją, bo zawiera przeogromne wartości poznawcze. Bo jej kultura, czyli rozwój dokonuje się sam przez się w naszych umysłach i sercach na tyle głęboko, że tak jak nie da się odłączyć człowieka od środowiska naturalnego, tak nie da się jego potrzeb duchowych odłączyć od wsi, od jej szaty roślinnej, zwierząt, ludzi i... pejzaży - z dymiącymi kominami, bocianami, z kościelną dzwonnica i wiejskim przy niej cmentarzem.

**Jan Stanisław Smalewski
Bąkowo**

Rok 1968

Minęło 50 lat od Marca. Staliśmy się mądrzejsi o kolejne doświadczenia, a może nam się tylko wydaje, że wiemy więcej i więcej ze świata rozumiemy. Być może nie odrobiliśmy zadanej przez historię lekcji, skoro wciąż trwa spór o rolę buntu '68 w drodze do wolności.



Byłam na drugim roku studiów. Trzeci semestr kończył się egzaminami z historii literatury polskiej (literatura staropolska) u dra Edwarda Rabowicza, z historii Polski u dra F. Stasika i starocerkiewnosłowiańskiego, czyli scs u dra Huberta Górnowicza. Ponadto w semestrze trzeba było zdobyć dwadzieścia zaliczeń.

W czwartym semestrze czekało na nas czternaście przedmiotów, w tym siedem kończących się egzaminami. Mieszkalam z Ewą w nowym akademiku przy ulicy Polanki w dwuosobowym pokoju, na uczelnię trzeba było jechać do Wrzeszcza na ulicy Sobieskiego, gdzie ćwiczenia odbywały się w małych salkach na strychu, a wykłady chyba piętro niżej. Do studenckiej stołówki wciąż jeździliśmy do Brzeźna.

Starostą roku był Tadeusz Mickiewicz, opiekunką pani - wówczas magister od poetyki, dziś profesor - Ewa Nawrocka. By odtworzyć tamten czas, zajrzałam do indeksu. Pamiętam tyl-

ko drobne zdarzenia i sytuacje, trudno odtworzyć jakiś linearny przebieg wypadków. Na początku marca co raz ktoś przynosił jakieś fragmenty informacji o wydarzeniach na Uniwersytecie i Politechnice w Warszawie, najpierw związane z obroną „Dziadów” Mickiewicza w inscenizacji Kazimierza Dejmka, później z obroną studentów wyrzuconych z uczelni: Adama

Michnika i Henryka Szlajfera. Podobne poruszenie w domach studenckich Politechniki przy ulicy Hibnera we Wrzeszczu i na WSP przy ulicy Sobieskiego. Punktem kulminacyjnym była demonstracja pod „Żakiem”. Ci, którzy tam byli, opowiadali o brutalnym zachowaniu milicji, ormowców i ludzi z bezpieki.

15 marca na ulice Wrzeszcza na wysokości filharmonii wyszli studenci, uczniowie i mieszkańcy miasta. Ewa postanowiła dołączyć do ludzi pod ambasadą radziecką, niedaleko. Spodziewała się zadymy, pod beret próbowała włożyć pokrywkę od garnka. Wtedy nieoczekiwany przyszedł jej ojciec. Nie poszła. Opancerzenie na pewno by się przydało. W starciach z milicją byli ranni po obu stronach, w tym studenci i uczniowie.

O strajkach na Uniwersytecie Warszawskim i w Gdańsku, później o poruszeniach w całej Europie: Francji, później w Czechosłowacji przez lata opowiadali uczestnicy wydarzeń i świadkowie. Nie były w centrum moich zainteresowań, byłam absolutnie poza polityką z powodu natłoku zajęć, spraw osobistych, ale również dlatego, że od najmłodszych lat w domu rodzice pilnowali, byśmy unikali materii polityki jak pola minowego. Nie interesowały mnie raczej polityczne, natomiast nie mogło być obojętności wobec brutalnych zachowań milicji, solidaryzowałam się z pobitymi, poddanymi represjom aż do paszportu w jedną stronę. Znakiem solidarności była studencka czapka i roznoszone przez kolegów ulotki. To nie był czas komórek i serwisów społecznościowych.

Jakub Szadaj, gdańszczanin, rocznik 1948, na początku kwietnia 1968 został aresztowany: wyrok 10 lat. Odsiedział połowę kary. W 1992 roku zo-



Gdańsk, marzec 1968, hall Politechniki Gdańskiej po wiecu

Fot. Stefan Figlarowicz

stał całkowicie oczyszczony z zarzutów postawionych mu w 1968.

Przeżyłam głęboko tajemnicze zniknięcie po wypadkach marcowych dwóch dziewczyn: Ewy i Basi. Szeptane informacje właściwie niczego nie wyjaśniały. Wyjechały z Polski z powodu pochodzenia, to było najprostsze i najokrutniejsze wyjaśnienie.

Nic nie wiem o Ewie, z Basią mam kontakt na fb. Mieszka w Holandii, zajmuje się operą. Na moje pytanie o rok '68 odpowiedziała: „wyjechaliśmy jako jedni z pierwszych we wrześniu 1968. Moj ostatni rok był drugi, 67/68... Te czasy staram się zapamiętać

zdarzeń Marca z biegiem czasu zmieniają punkt odniesienia, oceniają je z innej płaszczyzny, bogatsi o własne i społeczne doświadczenia.

„W zbiorowej biografii pokolenia '68 „przesuwające się kulisy” wiadać dość dobrze, ich odkrycie staje się ważnym momentem deziluzji, dekonstrukcji i destrukcji marksizmu. (...) Jest to rodzaj zbiorowej diagnozy i samokrytyki z rozpoznaną u siebie fałszywą świadomością.” (Fałszywa świadomość, czyli ogląd rzeczywistości według nabytych z istniejącego układu wyobrażeń, które poza nim się nie sprawdzają).

CIAŁA

przyjaciółom z lat studenckich

*leżą w bruku ulicznym
skręcone w gąsienicach czołgów
krwawią resztkami życia
są malutkie
wobec ogromu śmierci
cóż nam jeszcze pozostało
z tych lat
trzy pełne strzykawki krwi
i trzech studentów
piątego roku filologii polskiej
Tadeusz Knade zemdlął
Kazio Nowosielski trzyma
się blade uśmiechem
igły
no i ja średnio wytrzymały
na mrozy grudnia
do czyjego serca
trafi ta krew
policjanta stoczniońca
oto jest pytanie
na które chyba sam
Hamlet nie da pełnej
odpowiedzi w dzisiejszy wieczór
skoro karetki pogotowia
szaleją po ulicach
Gdańska 1970 roku*

Różne są miary bohaterstwa, trzej nasi koledzy, by mieć swój udział w historii, oddali honorowo krew, a Staś po latach napisał o tym wiersz.

B., która studiowała socjologię na Uniwersytecie Warszawskim rok 1968 pamięta dokładnie. Brutalne starcia z milicją, palowanie, później rozwiązanie całego Wydziału Filozofii, rozwiązano równocześnie socjologię, psychologię, ekonomię. Później były nowe zapisy, przerwa w zajęciach trwała do 22 maja. Niepokornych studentów wcielano do wojska. B. pamięta odprowadzanie na Dworzec Gdański kolejnych przyjaciół.

Wracam do tamtego czasu pod wpływem lektur: „Sendlerowej” Anny Bikont i książki „Awangarda i inne złudzenia. O pokoleniu '68 w Polsce” Lidii Burskiej.

Historia opowiedziana przez Annę Bikont obejmuje kilkadziesiąt żydowskich rodzin, których dzieci uratowano z getta warszawskiego dzięki pomocy Ireny Sendlerowej. Autorka przeprowadziła skrupulatną kwerendę poszukując dokumentów dotyczących każdego dziecka, każdej sprawy. Jednak nie te osobiste historie bohaterów i epizody z życia Ireny Sendler, a właśnie tragiczna cezura roku 1968 jest wstrząsająca. „Nie ma żad-

i muszę Ci się przyznać, że mi się na ogół udaje. Nie chcę żyć przeszłością, a przynajmniej tą złą przeszłością.

Książki Lidii Burskiej nie znam: polecasz? Ostatnio ukazują się tylko książki na temat '68 i ja z nimi nie chcę mieć nic wspólnego. To jest na ogół naciąganie, jazda po głowach innych, ostatnio bardzo popularna (jest) książka Sabiny Baral „Zapiski z wygnania”, która mnie wręcz mierzi z góry. Książki nie czytałam (i nie będę czytać) ale znam Sabinę i nie rozumiem, jak może dostać tyle uwagi, nawet w teatrze to będą wystawiać...”

Lidia Burska w napisanej dziesięć lat temu rozprawie habilitacyjnej i pośmiertnie wydanej jako książka zatytułowana „Awangarda i inne złudzenia. O pokoleniu '68 w Polsce” twierdzi, że dyskusja o roku 68 dopiero się zaczyna. Konieczna była perspektywa czasu i dystans. Uczestnicy

Rok 68, zdaniem autorki, rozpoczął wciąż trwający proces przebudowy świadomości, pozwala zderzyć punkty widzenia uczestników i obserwatorów (autorka, rocznik 1953 przyjmuje tę perspektywę), różne źródła wiedzy, rozbieżne interesy i cele.

Rozmawiam z koleżankami ze studiów. Minęło pięćdziesiąt lat, jasne, że nie pamiętają szczegółów marca '68. Bardziej przeżyliśmy rok 1970, kiedy na ulicy Polanki stanęły czołgi, nie z naszego powodu, prawdopodobnie z powodu wojskowego szpitala na wprost akademików. I dzień 17 grudnia, kiedy pod akademikami stanęły autobusy, by wywieźć nas do pociągów i do domów. Zapobiegawczo, byśmy już nie jeździli pod „Żak” i pod KW zobaczyć jak pięknie wygląda spalony. Zdarzenie tamtego czasu w wierszu zamknął nasz kolega, poeta Stanisław Gostkowski (1948 - 2000):



Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej/marzec1968.pl

nej wypowiedzi Sendlerowej z 1968 roku, która wspierałaby ówczesną propagandę. A nie wyobrażam sobie, by na nią też nie naciskano. Jadwiga Piotrowska, jej przyjaciółka z pracy i konspiracji, uległa zatrutym oparom tamtego czasu". Michał Głowiński, dziecko uratowane z getta, później- szy profesor nauk humanistycznych, historyk literatury polskiej i teoretyk literatury, pisarz i znawca nowszych dzieł literatury polskiej, autor podręczników, z których korzystałam w czasie studiów i którego książki do dziś zajmują ważne miejsce w domowej biblioteczce pisał o Sendlerowej: „Jej świat się załamał w okresie marcowym. Na wszystkie kłamstwa reagowała alergicznie." Wyjeżdżają jej znajomi i przyjaciele. Rok 1968 przecina życiorys, przyjaźnie, odsłania różnice w pojmowaniu patriotyzmu, lojalności i przyzwoitości. Polaryzują się podziały, również między ocalałymi. Mimo to Jana Dobraczyńskiego, którego sytuuje się we „frakcji moczarskiej" wciąż łączy uczucie z Jadwigą Piotrowską, która odprowadza znajomych na Dworzec Gdański.

Jerzy Ficowski w 1942 roku miał osiemnaście lat i widział okropieństwa i tragedie żydowskich dzieci. „Pisałem te wiersze, bo nie należałem do gatunku skazanego na zagładę, a oglądałem mord." Tom wierszy „Odczytanie z popiołów" został wydany w Warszawie w 1980 roku. Tam zamieścił wiersz o swojej żonie Elżbiecie Koppel poszukiwanej po wojnie przez organizacje żydowskie jako dziecko ocalałe z Zagłady:

*„To Twoje matki obie
nauczyły Cię
tak nie dziwić się wcale
kiedy mówisz
JESTEM”*

„W marcu 1969 roku urodziła się im córka Anna. Elżbieta, zajęta ciążą, później opieką nad niemowlakiem, o wiele mniej przeżywała antysemicką atmosferę tamtego czasu niż jej mąż" - pisze Anna Bikont. Elżbieta Ficowska w nagraniu dla fundacji Shoah powiedziała, że nie potrafi być Żydówką. Ile żydowskich dzieci nie poznało tajemnicy swego pochodzenia, nie chciało być Żydami, o tym też opowiada Anna Bikont.

Norman Davies w „Bożym igrzysku" pisze o masowym powojennym opuszczaniu Polski przez ocalałych

z Holocaustu. Emigrowali dzięki pomocy organizacji UNRRA. „Jedyną liczniejszą grupą ludności żydowskiej, która w tych warunkach miała ochotę zostać w Polsce byli ci, którzy mieli zamiar albo służyć nowemu reżimowi, albo wyciągnąć jakieś korzyści z jego panowania. Nieproporcjonalnie liczny element żydowski trafił do wyszkolonych przez Sowiećów kadr, które miały kierować rodzącą się komunistyczną administracją oraz do pracy w służbach bezpieczeństwa. (...) Wydarzenia te miały się przyczynić do zaostreżenia napięć w łonie partii w latach 1955 - 1956, a także leć u podstaw antysemickiej kampanii z roku 1968."

Gdy w życie zwykłych ludzi wkracza polityka, dzieją się rzeczy straszne. Pomyłki w rozpoznaniu rzeczywistości są nie do naprawienia.

Jednak rok '68 przeciął również buntami młodzieży okrzepłe struktury społeczne Zachodu (Francji), mieszczańskie wzorce życia zostały poddane krytyce zbuntowanej młodzieży. Leszek Kołakowski i inni intelektualiści „widzieli wówczas rozdzielnie nasz marzec i ich maj". Lidia Burska przypomina późniejszy artykuł Tadeusza Nycza „Obudziłem się nagle nagi", przywołując jego spostrzeżenie o łączącej młodych wspólnotę pokoleniowej, zarówno w krajach demoludów, jaki i na Zachodzie.

„Wspólnota buntu była ważniejsza od różnic historycznych i politycznych". Rodziło się pokolenie '68. Dlatego Burska uważa, że przeobrażająca się opowieść „pokolenia '68 jest ciekawsza od znanych i opisanych wydarzeń. (...) Aby zinterpretować, uczynić znaczącymi zdarzenia, w których uczestniczymy (...) musimy je najpierw wyodrębnić ze strumienia życia i „sfabularyzować", i uczynić przedmiotem opowieści."

Minęło 50 lat od Marca. Staliśmy się mądrzejsi o kolejne doświadczenia, a może nam się tylko wydaje, że wiemy więcej i więcej ze świata rozumiemy. Być może nie odrobiliśmy zadanej przez historię lekcji, skoro wciąż trwa spór o rolę buntu '68 w drodze do wolności. Pokoleniowa tożsamość rodzi się nie tylko na ulicy, raczej w niszach kulturowych, co wiele lat później, w czasie Solidarności ujawniło się w wydawnictwach drugiego obiegu, w twórczości Herberta, Krynickiego i Barańczaka i innych, oraz niezależnych czasopiśmie. Dziś ważne jest też pytanie, jakie perspek-

tywy i jak swą tożsamość artykułuje pokolenie 50 lat później? Rozproszeni po świecie lub skupieni w skrajnie prawicowych organizacjach z fałszywą ideologią są zdolni do ogólnoludzkiej solidarności i empatii? Jakie wyznają wartości?

Nazakończenie za autorką „Awangardy" przytoczę opinię Józefa Dajczgewanda: „1968 rok to było przecięż na kształt dwudziestowiecznej Wiosny Ludów. Wydawało się przez jakiś czas, że oś Berkeley - Warszawa - Praga może wiele zmienić. Potem, po paryskim maju, okazało się, że cały ruch studencki na Zachodzie poszedł w innym kierunku, jakby nie zauważył polskiego i czeskiego doświadczenia. Ale zanim do tego doszło spotykaliśmy się z delegacjami studenckimi innych krajów. Okazywało się, że i my, i oni dyskutujemy o tych samych sprawach. I jeśli ktoś chce rozumieć marcowy ruch studentów polskich tylko w ramach rozgrywek między partyjnymi koteriami, robi błąd, bo to jest o wiele za mało."

Po roku '68 przyszły w Polsce kolejne znaczące daty i miejsca. Nie przeobraziły one w znaczący sposób naszej zbiorowej świadomości, w tym stosunku do obcych. Wciąż widzimy w nich zagrożenie, sami oczekując zrozumienia i pomocy, gdy nam świat się wali. W tej sytuacji drogowskazem wciąż, mam nadzieję, pozostają Herbertowe „Przesłanie Pana Cogito" i „Raport z obłąkanego miasta."

Czesława Długoszek, Objazda



Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej/marzec1968.pl

Osiąga w swoich pracach

- Z dużą przyjemnością wykonuję fotografie abstrakcyjne, ale w moich zainteresowaniach są też fotografie minimalistyczne, lubię reportaż, lubię wykonywać portrety i fotografować krajobrazy, najlepiej w sesjach długoczasowych. Reportaż wciąż mnie coraz bardziej, ale nie zaniedbuję pejzażu. Pozostaję mu wierny - mówi o swoich fotograficznych zainteresowaniach Witold Leśniewski z Dębicy Kaszubskiej.



Fot. J. Maziejuk

Fotografia artystyczna jest wyjątkową dziedziną w sztukach stosowanych. Doświadcza i poddaje się różnym eksperymentom technicznym i plastycznym. Wykonywane zdjęcia krajobrazowe, panoramy, pejzaże, potrafią urzekać malarską wyobraźnią fotografika, poetyckim tematem i czasem metafizyką pokazywanych zjawisk przyrodniczych. Fotografia jest dziedziną, którą można uprawiać od najmłodszych lat i spełniać się artystycznie. Witold Leśniewski z Dębicy Kaszubskiej osiąga w swoich pracach najwyższy kunszt.

Z zawodu był marynarzem, na morzu spędził prawie dwadzieścia pięć lat życia i od młodych lat nie rozstawał się z aparatem fotograficznym. Nie ukończył profesjonalnej szkoły fotograficznej, ani żadnej innej o ukierunkowaniu plastycznym. Jest samoukiem. Gdy uczęsz-



czał do Liceum Ogólnokształcącego w Ustce, zapisał się do szkolnego koła fotograficznego. Mówi, że na zajęciach tych znajdował wiele radości - tak podczas fotografowania, jak i obróbki zdjęć w ciemni.

Jak wspomina ten okres? - W ciemni przy wywoływaniu i chemicznej obróbce zdjęć, kiedy w czerwonym świetle pojawiały się na papierze obrazy, przeżywałem ten moment szczególnie. W wywoły-

najwyższy kunszt



Fot. W. Leśniewski

waczu tkwiło magiczne zjawisko. Ten początek był dla mnie niezwykle udany. Zauważono, że mam talent, mimo że moja wiedza na temat fotografii była jeszcze znikoma. W fotografiach moich z tego okresu więcej było instynktowego działania niż fachowej wiedzy, ale wszystkim się podobały.

Będąc w wieku poborowym trafił do Wojsk Ochrony Pogranicza w Szczecinie. Tam również dał się poznać jako fotografik. Wykonywał wie-

le zdjęć z wojskowych uroczystości, z przebiegu ćwiczeń, innych wydarzeń. Po zakończeniu szkolenia podstawowego skierowano go na Strażnicę do Świnoujścia. Tu zajmował się też fotografią. Wykonywał zdjęcia do gazetki ściennych, realizował również zamówienia kolegów. Coraz bardziej krystalizowały się już jego zainteresowania fotografią. Na swoich fotografiach starał się chwycić „życie na gorąco”. Lubił też fotografować krajobrazy.

Doceniając umiejętności żołnierza-fotografa, skierowano go do Kętrzyna na szkolenie z makrofotografii. Po nim miał szczególne zadanie do wykonania - rejestrował przypadki nielegalnego przekraczania granicy.

Po powrocie z wojska W. Leśniewski podjął pracę w Garbarni w Dębnicy Kaszubskiej - najpierw jako robotnik, a później jako pracownik zaopatrzenia. Teraz fotografował przede wszystkim ciężką pracę w garbarni.

W jego życiu zawodowym decydujące znaczenie miało jednak ukończenie Studium Policealnego Radiokomunikacji Morskiej w Kołobrzegu. Po nim zatrudnił się w przedsiębiorstwie Transocean w Szczecinie i pracował na statkach. Były to lata wyjątkowe w jego życiu. Spędzał je na morzach i oceanach. Jego fotografia koncentrowała się teraz na pięknie krajobrazów morskich i rejestrowaniu pracy na łowiskach dalekomorskich.

- Dokumentowałem różne zdarzenia podczas niezliczonych rejsów. Byłem pochłonięty cały czas swoim fotograficznym hobby - mówi W. Leśniewski. - Jednak po przepracowaniu prawie dwudziestu pięciu lat na morzu, zostawiłem życie w ciągłym rozstaniu z rodziną i wróciłem do pracy na lądzie. Otworzyłem własną działalność polegającą na wykonywaniu usług fotograficznych w Dębnicy Kaszubskiej. Tak dotrwałem do wieku poważnego i do... poważniejszych realizacji fotograficznych.

W 2011 roku wygrał konkurs fotograficzny „Krajobraz Pomorza”



Fot. J. Maziejuk

Artyści ziemi słupskiej

zorganizowany przez Europejski Fundusz Rolny na Rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich. W 2012 zdobył drugie miejsce i nagrodę specjalną za prezentację trzech panoram krajobrazowych. W 2013 - drugie miejsce w konkursie na fotografii jezior Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi”. Wygrał też konkurs Pomorskiej Fundacji Pamięci Gryfitów „Poznajemy zapomniane załogi Pomorza”.

W 2014 roku Witold Leśniewski miał swoją pierwszą wystawę. Pokazał na niej krajobrazy gminy Dębica Kaszubska. Stała się ona początkiem większej pracy zatytułowanej „Moja Mała Ojczyzna”. Złożył się na nią cykl fotogramów poświęconych krajobrazom, ciekawym zabytkom i budowlom oraz mieszkańcom gminy.

W tym też, 2014 roku otrzymał za swoje fotografie nagrodę i wyróżnienie w konkursie zorganizowanym przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku z okazji 90-lecia jego istnienia. Ośmielony pierwszymi nagrodami wystąpił do Starosty Słupskiego z wnioskiem o stypendium, które pozwoliłoby mu przygotować wystawę poświęconą ziemi i jej niezwykłym urokom. Otrzymał stypendium i na wystawie zorganizowanej w Głobinie pokazał różnorodne struktury powstające w lodzie zamrożonych je-

zior przepływowych, utworzonych na rzece Słupi. Wystawę tę ekspozycjonował w ośmiu miejscach w powiecie słupskim. Spotkała się ona z dużym zainteresowaniem.

We wrześniu 2015 roku, ze znanym innym fotografikiem Waldemarem Michorzewskim ze Słupska, utworzył nieformalną grupę fotografików, która wzięła udział w 18. Ogólnopolskim Konkursie Interpretacji Dzieł Stanisła-

wa Ignacego Witkiewicza. Zdobyła czwarte miejsce w konkursie na prezentację Mobilnego Studia Portretu Wielokrotnego.

W tym samym, 2015 roku zdobył też główną nagrodę w powiatowym konkursie „Krajobraz Pomorza”, a także wyróżnienie w kategorii multimedia za prezentację Diaporamy na VI Słupskim Przeglądzie Fotografii i... Grand Prix za wystawę „PGR 20 lat po...”.



Fot. W. Leśniewski



Fot. W. Leśniewski

czone w nich wyjątkowe zdjęcia. Pracuje szczególnie nad wyrazistością i mocą obrazu. Próbuje dociec, jakie szczegóły na zdjęciu mają wpływ na jego ekspresję i wywołują wyjątkowe wrażenia na oglądających. Te kwestie, jak sam przyznaje, nie dają mu spokojnie spać.

- Kiedy skończyłem pracę na morzu, zainteresowałem się szczególnie dwoma sprawami. Jedną była niewątpliwie fotografia, a drugą... kynologia - mówi W. Leśniewski. - Fotografii poświęcam najwięcej czasu, a kynologii też немало. Skąd wzięło się u mnie to zainteresowanie? W wojsku, na strażnicy mieliśmy psy służbowe i poza fotografią bardzo lubiłem się nimi opiekować. Podziwiałem ich wyszkolenie: nieprzeciętne możliwości tropienia, unieszkodliwiania napastnika, szukania narkotyków i wykonywania wielu jeszcze innych czynności. Kiedy rozpocząłem pracę na łodzi, dostałem doga niemieckiego. Był tak dostojny, że potraktowałem go bardzo poważnie i zacząłem poświęcać mu też więcej czasu. Zachęcił mnie, bym zainteresował się jeszcze kynologią. Wkrótce zakupiłem rasowe szczenię i zacząłem zajmować się hodowlą psów. W międzyczasie spostrzegłem, że praca z dużymi psami jest bardzo pracochłonna, dlatego zmieniłem rasę na buldożki francuskie. Obecnie posiadam zarejestrowaną ich hodowlę. Biorę udział w wystawach psów, czasem mieszkam w własnej hodowli mioty szceniąt. Pieski też fotografuję i przygotowuję reportaże z wystaw psów rasowych.

- Szukając tematu do fotografii lub mając już temat wybrany, nie ro-

bię niezliczonej ilości zdjęć. Będąc na miejscu, w określonej sytuacji, na początku ustawiam aparat na interesującym mnie obiekcie. Następnie wyobrażam sobie, co chciałbym pokazać. Próbuje przewidzieć, jak będzie wyglądał mój produkt finalny i dopiero wówczas naciskam spust wyzwalający migawkę aparatu. Po chwili mogę szukać już w kadrach tego, co miałem już ułożone w mojej wyobraźni - dzieli się swoim warsztatem fotografik. - Nie mam stałego, określonego tematu ulubionej fotografii. Z dużą przyjemnością wykonuję fotografie abstrakcyjne, ale w moich zainteresowaniach są też fotografie minimalistyczne, lubię reportaże, lubię wykonywać portrety i fotografować krajobrazy, najlepiej w sesjach długoczasowych. Muszę przyznać, że coraz bardziej wciąga mnie reportaże, ale nie zaniedbuję pejzażu. Pozostaje mu wierny. Chciałbym tworzyć też opowieści o ludziach, których profesje giną. Pokazać ich twarze, sylwetki, miejsca pracy, z którymi mocno byli związani. Dzisiejsza technika, wejście na rynek aparatów fotografii cyfrowej niesamowicie upowszechniło robienie zdjęć. Miliony ludzi wykonują już fotografie. Niesamowite możliwości odkryłem na przykład poprzez social media, które pozwalają poczuć się obywatelem świata. Mogę korespondować z setkami osób, podziwiać ich fotografie i prezentować swoje. Czerpię całymi garściami z doświadczenia innych i jednocześnie przekazuję moje prace do wglądu i oceny.

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk

W przygotowaniu tej ostatniej wystawy, a właściwie szerszego projektu poświęconego byłym pegerom, nawiązał współpracę z Muzeum Kultury Ludowej Pomorza w Swołowie. Powstał wówczas wspólny plan obejmujący również projekt scenariusza na film oparty na wywiadach przeprowadzonych z byłymi pracownikami PGR. Na wystawę złożyło się 300 fotografii dokumentujących to, co zostało po byłych państwowych gospodarstwach rolnych: popadające w ruinę dwory ziemiańskie, pałace, spichlerze, gorzelnie, obory, magazyny, chlewnie. Na filmie byli pracownicy PGR opowiadają o swojej dawnej pracy i obecnej sytuacji życiowej.

W 2016 roku, na dorocznej wystawie fotograficznej Słupskiego Klubu Fotoaktywni, zdobył trzecie miejsce w kategorii portret. Wygrał też doroczny konkurs na najlepszą fotografię krajobrazową. W tym samym roku uhonorowany został Białym Bocianem, przyznawanym przez Starostę Słupskiego jako najwyższe wyróżnienie w powiecie słupskim w dziedzinie kultury. Otrzymał je za przygotowaną wystawę „PGR 20 lat po...”

Trzeba podkreślić, że edukacja fotografa w dużej mierze jest oparta na lekturze wielu książek i albumów fotograficznych. Nie poprzestaje jednak na raz zdobytej wiedzy, tylko cały czas poszukuje w literaturze odpowiedzi na nurtujące go pytania. Przeglądając różne albumy stara się zapamiętać zamiesz-





O „Damnickich Betlejkach” i „teatrze dla życia”

Jasełka to najpopularniejsze przedstawienia w roku szkolnym. Te małe sztuki teatralne organizowane w przedszkolach i szkołach, pochłaniają ogrom przygotowań, jednak końcowy efekt jest prawdziwą atrakcją dla widzów i samych aktorów.

„Kolędnicy - wędrownicy z gwiazdą na patyku” - pod takim hasłem 18 stycznia, pod honorowym patronatem starosty słupskiego Zdzisława Kołodziejkiego, odbył się w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym im. Marynarza Polskiego w Damnicy - VI Ogólnopolski Przegląd Widowisk Bożonarodzeniowych - „Damnickie Betlejki”.

Wybór kolędy Wandy Chotomskiej na piosenkę przewodnią miał być wyrazem hołdu i pamięci całej społeczności szkolnej dla Wielkiej Poetki i Przyjaciółki Ośrodka - Pani Wandzi. „Kolędują na gitarze, rock n’ rolla niosą w darze / Rock n’ rolla niosą w darze / Ref.: Rok, rok, rok, dobry rok / Rok, rok, dobry rok / Dzieciątko z Betlejem do świata się śmieje / Światło, światło idzie w mrok!” Słowa te i melodia utworu zapowiadały świetną zabawę w kolędowanie i bardzo dobry Nowy Rok, czego życzo wszystkim uczestnikom przeglądu.

W tym roku do damnickiego pałacu przyjechało dziesięć zespołów teatralnych: „Anioły Nadziei” z SOSW w Bytowie, - „Pokolenia.Pl” z SOSW w Słupsku, „Kurtyna w górę” z SOSW

w Żukowie, „Płomyki” z Warsztatów Terapii Zajęciowej Polskiego Związku Niewidomych w Słupsku, Zespół Teatralny „BIS” z SOSW nr 2 w Gdyni, „Fikcja” z SOSW w Człuchowie, „Opus 4” z Zespołu Placówek Specjalnych w Tczewie, „Rozdarta Kurtyna” z Warsztatów Terapii Zajęciowej przy PSONI w Słupsku oraz Zespół „Krasnoludki” z Domu Pomocy Społecznej w Machowinku. Gospodarzy reprezentował zespół „Pędziwiatry i Spółka”.

Przez cały dzień trwania widowiska można było podziwiać w sumie aż stu jeden uczestników w różnym wieku i w różnych kategoriach artystycznych. Jak zawsze, zespoły zaprezentowały nowe, oryginalne przedstawienia opowiadające o historii narodzin Jezusa. Dzięki otwartej formule każda grupa przygotowała spektakl na miarę swoich możliwości, dając pokaz wspaniałych talentów, umiejętności scenicznych i niekończącej się kreatywności. Tradycyjne jasełka, ale w nowej odsłonie (autorskie scenariusze, mądre dialogi i pastorałki, niekonwencjonalna ścieżka dźwiękowa), w wykonaniu niepeł-

nosprawnych intelektualnie aktorów pozwoliły uczestnikom przeglądu na nowo przeżyć Boże Narodzenie oraz przypomnieć sobie o istocie świąt i ludzkiego życia.

W betlejemskim teatrze było pięknie, rodzinnie, radośnie i poważnie, wzruszająco i poruszająco. Powiązanie historii Narodzenia Pańskiego z problemami współczesnego człowieka i rodziny, z kłopotami i marzeniami dzisiejszej młodzieży, tak często zagubionej w świecie pełnym agresji i wyobcowania, skłaniało do refleksji i zastanowienia się nad sobą, nad swoim światem. Niejednemu raz podczas występów któregoś z zespołów na widowni zapadała całkowita cisza. Mimo zmęczenia i późnych popołudniowych godzin, dzieciaki wsłuchiwały i wpatrywały się w to, co się działo na scenie. Na żywo przedstawiana sztuka, inscenizacje kukielkowe, teatr cieni, kolorowe dekoracje, kostiumy i rekwizyty, odpowiednia muzyka oraz sposób wyrażania się aktorów, bardzo mocno oddziaływały na przeżycia i emocje odbiorców. Płynące z jasełek przesłanie dobra i miłości budziło nadzieję

i ukazywało sposoby walki ze złem i samotnością.

Po raz kolejny można było się przekonać, jak wielką rolę mają do spełnienia placówki kształcenia specjalnego, zarówno w aktywizacji twórczej uczniów niepełnosprawnych intelektualnie, jak i w procesie wychowania i aktywizacji społecznej. Przedstawienia pokazały, że teatr może być narzędziem przeciwko napiętnowaniu, izolacji i wykluczeniu. Nie bez powodu teatr osób upośledzonych określany jest mianem „teatru dla życia”, w którym fundamentalne znaczenie mają relacje interpersonalne, nie te sensu stricto, ale spotkanie z drugim, innym człowiekiem oraz współbycie. Cudowną specyfiką teatru jest możliwość prawdziwego przeżywania emocji w świecie stworzonej fikcji scenicznej, która często jest odbiciem autentycznych doświadczeń.

Zabawa w teatr w zespole „Pędziwiatry i Spółka” od lat rozwija możliwości wychowanków. W procesie odgrywania ról następuje odreagowanie nagromadzonych emocji, zostaje uaktywniona sfera komunikacji, zwiększa się poziom samowiedzy i akceptacji, buduje się pozytywny obraz i poczucie własnej wartości. Bo dzieci poprzez działania artystyczne przełamują swoje lęki, niepewności, uczą się pracy w grupie, otwartości. Mają też niepowtarzalną okazję na przeżycie sukcesu. Okazuje się, że teatrotapia jest wspaniałą formą wyrażania siebie, wspiera proces kształtowania osobowości, rozwija mowę werbalną i niewerbalną, przełamuje bariery oraz pełni funkcję terapeutyczną dla wychowanków, rodziców i opiekunów, burząc stereotypy społeczne dotyczące funkcjonowania i potrzeb artystycznych osób z niepełnosprawnością intelektualną. Edukacja oparta na przeżywaniu i zaangażowaniu emocjonalnym, to również najsukcesowniejsza profilaktyka.

Jasielka to najpopularniejsze przedstawienia w roku szkolnym. Te małe sztuki teatralne organizowane w przedszkolach i szkołach pochłaniają ogrom przygotowań, jednak końcowy efekt jest prawdziwą atrakcją dla widzów i samych aktorów. W ośrodkach specjalnych pierwsze próby zaczynają się już we wrześniu, nauka roli wymaga wielu godzin ćwiczeń. Mimo to nie brakuje chętnych do teatrzyków szkolnych. Dla większości uczniów przygoda z teatrem trwa do ukończenia szkoły,

ale niektórzy zostają w zespołach jeszcze dłużej, występują jako absolwenci. To najwięksi teatralni pasjonaci i dowodzą nauczycielskich, wychowawczych osiągnięć.

Poziom tegorocznych damnickich „Betlejek” był naprawdę wysoki. Zachwycalo wiele kreacji aktorskich, żywa interpretacja i wygłaszanie dużych fragmentów tekstu z pamięci, śpiewanie kolęd na dwa głosy, teatr cieni i spektakl kukielkowy. Nasuwa się jeden wniosek: to trzeba pokazać wielu ludziom, szerokiej publiczności na prawdziwej scenie i w prawdziwym teatrze. Może więc za dwa lata „Damnickie Betlejki” odbędą się w jakimś innym obiekcie z dużą sceną i przy pomocy profesjonalistów od światła i dźwięku? To takie marzenia organizatorów.

Organizatorzy przeglądu starają się obalić stereotypowy sposób patrzenia: z jednej strony na niepełnosprawność, z drugiej na młodzież, której przyczepiono etykietkę „trudna” i „zdemoralizowana”. Dlatego Przegląd Widowisk Bożonarodzeniowych nie ma charakteru konkursowego, wszyscy aktorzy mogą liczyć na nagrody oraz tytuł „Osobowości”. Prezentowane spektakle obserwuje czteroosobowe jury, którego zadaniem jest wypatrzenie i wykrzyk w każdym zespole jednej, wyjątkowej perełki - Osobowości Przeglądu. Zgodnie z tradycją każdy uczestnik zostaje doceniony, nagrodzony i uściskany przez przewodniczącą jury - w tym roku

Barbarę Jagodzińską z Gdyni. Wyróżnionym aktorom, a w jednym przypadku całemu zespołowi wręczono statuetki „Osobowości”, a wszystkim grupom - w podziękowaniu za piękne występy - karty upominkowe, ufundowane przez patrona przeglądu, starostę słupskiego Z. Kołodziejskiego, pamiątkowe dyplomy i... „mikołajkowe skrzynie obfitości” z łakociami i owocami. Nagrodą zbiorową dla wszystkich uczestników jasełkowego spotkania była wyczekiwana dyskoteka.

Dla organizatorów imprezy to ogromna radość i satysfakcja zawodowa móc podziwiać i doceniać wspólny wysiłek, nieraz ciężką pracę, małe i duże sukcesy nauczycieli i ich uczniów. Podsumowując, VI Ogólnopolski Przegląd Widowisk Bożonarodzeniowych w Damnicy wpisuje się na listę bardzo udanych imprez integracyjnych. Należy podkreślić, że spektakle stworzone przez nauczycieli i uczniów ze „szkół specjalnych” mają znaczenie o wiele większe niż tylko artystyczne. Wartością szczególną, dodaną jest poczucie, że jest się tak samo zdolnym i ważnym, jak uczniowie z innych szkół. A zachętą do organizacji następnych „Betlejek” niewątpliwie staną się słowa uznania od członków zespołu teatralnego z SOSW Nr 2 w Gdyni: „Do Damnicy przyjeżdżamy od lat, ponieważ darzymy to miejsce wielką sympatią. Atmosfera, jaka tu panuje jest niepowtarzalna i wyjątkowa!”

Mirosława Sawicka-Glinka
Damnica



Łupawa, moja miłość (3)



Dwór budowany był niespełna dwa lata, a otoczenie dworu odtwarzane było blisko 10 lat, ale by przywrócić zespołowi parkowemu jego dawne znaczenie i urodę potrzeba jeszcze wielu lat i sporo pieniędzy.

Jak obiecałem, tak kontynuuję cykl artykułów o historii słupskich wsi, na początku o Łupawie - wsi, która stała się moją miłością, bo moim drugim, po Słupsku, domem. Zaczęłem szukać materiałów z historii Łupawy po II wojnie światowej. Nie ma stosownych opracowań źródłowych, trudno również zdobyć materiały, czy też choćby wspomnienia ludzi z pierwszych powojennych lat. Minęło już ponad 70 lat, ludzie poumierali, a pisma o historii wsi, która dwukrotnie była siedzibą władz gminnych, są rozproszone lub trudno dostępne. Dlatego też, z pewnymi oporami, postanowiłem opisać historię nieistniejącego pałacu i zabytkowego parku, w którym wybudowałem dom rodzinny.

Ale zacznijmy od początku. Przypomnę, że o Łupawie wiemy od końca trzynastego wieku (1287 r.). Pierwsi właściciele to Klasztor w Kołbaczu,

Święcowie, Tessenowie, Zitzewitzowie i znowu Święcowie już jako Puttkamerowie. Następnie Grumbkowie i Boninowie, aby w dwudziestym wieku na krótko wrócić znowu do Puttkamerów.

Zatrzymajmy się na miejscu, gdzie do 1974(?) roku stał duży, dwuskrzydłowy, barokowy pałac. Od wielu lat szukam dowodów na istnienie w tym samym miejscu zamku, czy choćby grodu. Wspominają o tym niemieckie źródła, mówiąc, że zamek wybudowali Zitzewitzowie, a następnie został on zdobyty i spalony (z mieszkańcami?) przez Szwedów w czasie wojny trzydziestoletniej (1618 - 1648). Na jego fundamentach czy też gruzach powstał pałac i trwał do 1974 roku, aby, z braku opieki, dewastacji i kradzieży, praktycznie zniknąć z powierzchni ziemi (po blisko 300 latach!).



Pałac i majątek

Joachim Ernest von Grumbkow rozpoczął budowę pałacu w 1687 roku (szczęśliwym trafem zachował się kamień węgielny leżący obecnie przed dworem z 1999 roku). Pałac wraz ze skrzydłem bocznym był typową XVII/XVIII-wieczną siedzibą magnacką o wyraźnie francusko-holenderskiej proveniencji. Korpus główny, zbudowany, jak wiemy, pod koniec XVII wieku, miał plan prostokątny.

kąta (26,28 x 15,56 m), był budowlą dwukondygnacyjną o symetrycznie rozwiązanych elewacjach. Kryty był potężnym, czterosпадowym dachem o dwóch narożnych kominach. Skrzydło boczne, parterowe o piętrowym ryzalicie zawierającym wieżę z zegarem, zbudowane było w XVIII wieku, miało rozmiary 50 x 14 metrów. Ze starych map wynika, że pałac miał jeszcze jedno skrzydło południowo-zachodnie, które jako najmniej trwałe, gdyż najprawdopodobniej było pobudowane na gruzach zamku, pod koniec XIX wieku zostało rozebrane.

Zarówno korpus główny, jak i boczne skrzydło stanowiły wspaniałą całość i wraz z rozległym parkiem i ogrodem oraz ogrodem zwierząt, tworzyły świetną oprawę dla dóbr von Boninów tak rozległych, iż były nawet w XIX wieku nazywane państwem łupawskim. W 1855 r. należały do Łupawy: Malczkowo, Darżyno, Runowo, Potęgowo, Wegierskie, Żychlino i Holzkavel Kamienna.

Częstymi gośćmi pałacu była arystokracja niemiecka, do której bez wątpienia należeli von Boninowie, a zdarzało się, że i cesarz był na polowaniach.



Fot. Archiwum Autora

polityczne, a na koniec mieszkania pracowników PGR. Z żalem i przykrością trzeba stwierdzić, iż włodarze Łupawy i ich zwierzchnicy, w latach siedemdziesiątych XX wieku doprowadzili do zniszczenia wspaniałej, barokowej, siedemnastoletniej rezydencji.

Dopiero w 1996 roku zdecydowano się park sprzedać. Park, bo po pałacu została tylko część gruzów. Wszystko to przedstawiało rozpaczliwy obraz. Blisko trzydziestoletnia „działalność” miejscowej i okolicznej ludności w ośmiohektarowej, bezpańskiej posesji, zrobiła swoje. Dość powiedzieć, że śmieci wywożone były tygodniami blisko stoma przyczepami. Tyleż przyczep zwoziło potem ziemię na oczyszczone z gruzów, śmieci, dziko rosnących drzew i krzewów miejsca pod nowe nasadzenia, trawniki i kwiaty.

Na fundamentach pałacu, a dokładnie w miejscu korpusu głównego, powstał obecny dwór, którego wymiary są prawie identyczne z pałacem, a mianowicie długość 25,24 x 12,17 metrów (wraz ze schodami i rozległym tarasem widokowym +10 metrów) szerokości. Tak więc bardzo ciekawa historia tego miejsca rozpoczęta w XVI wieku kamiennym zamkiem, potem barokowym XVII/XVIII-wiecznym pałacem, zakończona została (jak na razie) XX-wiecznym (a dokładnie w 1999 rok) domem w stylu polskiego dworu. Dwór budowany był niespełna dwa lata, a otoczenie dworu odtwarzane było blisko 10 lat, ale by przywrócić zespołowi parkowemu jego dawne znaczenie i urodę, potrzeba jeszcze wielu lat i sporo pieniędzy.

Park

Teraz kilka słów o pięknym parku łupawskim. W chwili nabycia go w 1997 roku, mimo że od 1959 był wpisany do rejestru zabytków, marniał w oczach przez wiele lat. Nie przejmowano się tym, że założony został w XVIII wieku, a zdecydowana większość parków na Pomorzu pochodzi z XIX wieku. Wycinano stuletnie dęby, niszczone zabudowania gospodarcze, zwożono śmieci. A przecież park z przyległym doń ogrodem zwierząt tworzył niezwykle uroczy, pełen starodrzewia, stawów, strumieni i źródlisk wśród dolinek i wzgórków, zespół pałacowo-ogrodowy.

Do pałacowego parku i ogrodu przylega las, w którym był zwierzyniec. Głęboki wąwóz, prawdopodobnie pozostałość fosy zamkowej, ciągnący się aż do rzeki, łączy park i las. Park schodzi do Łupawy trzema, w miarę regularnymi tarasami, przy samej rzece przechodząc w rozległe starorzecze przez cały rok pełne ptactwa wodnego, w tym łabędzi i czapli. Momentami bywa tu od 50 do 100 sztuk czapli! W parku znajduje się również staw (ok. 0,2 ha) utworzony z bagniska zasilanego przez trzy źródła. Od strony północno-zachodniej park oddzielony jest od wsi pięknym 120-metrowej długości i 2-metrowej wysokości kamiennym murem. Na szczęście rozebrany był „tylko” w połowie i został również odrestaurowany.

Obecnie park jest zadbany, pełno w nim nowych drzew, krzewów i kwiatów.

Maciej Kobyliński
Słupsk

Czasy świetności skończyły się po II wojnie światowej...

Łupawa w latach 1945 – 1999 i obecnie

W latach powojennych pałac miał chwile siermiężnej świetności, gdy usytuowane w nim były dyrekcje kombinatu lub gospodarstwa rolnego. Była tam też stołówka pracownicza, mieściły się różne organizacje społeczne i



Fot. Archiwum Autora

Bogusław V Wielki, pierwszy władca nowopowstałego państwa słupskiego był bohaterem poprzedniego odcinka historii Księstwa Słupskiego (Powiat Słupski Nr 11-12/2017, str. 36-37). Miał on czterech synów i wszyscy zasiadali na książęcym tronie w naszym księstwie, choć niektórzy tylko na krótko, czy też wspólnie z braćmi. O najstarszym, Każku słupskim pisałem już poprzednio. Był on jedynym synem królowny Elżbiety, córki Kazimierza Wielkiego i Bogusława V. Pozostali to synowie tegoż Bogusława i jego drugiej żony Adelajdy z domu Welf (była córką księcia brunszwickiego Ernesta I).

Żeby historia trzech braci była ciekawa, a zarazem „lekkostrawna” będą o nich pisał z podaniem tylko najważniejszych faktów z ich życia, a ponieważ panowali w sumie tylko 45 lat, częstokroć potraktuję ich wspólnie.

Trzej bracia, to najstarszy Warcisław VII, średni Bogusław VIII i najmłodszy Barnim V. Uważny czytelnik zdziwić się może, że po ojcu Bogusławie V, jego syn też Bogusław, to już Bogusław VIII. Gdzie pozostali - szósty i siódmy? Czyżby to była pomyłka? Otóż nie. Gryfici kolejność imion książąt odnosili do całej dynastii Gryfitów. Tak więc po Bogusławie V, był Bogusław VI - to książę z linii wołogowskiej, a Bogusław VII zaś to wielce zasłużony dla Szczecina książę szczeciński.

Ta numeracja chociaż nastrocza trudności, bo odnosi się do książąt całego Pomorza Zachodniego, z drugiej strony zaś porządkuje chronologię rodu Gryfitów, tym bardziej, że niejednokrotnie książęta słupscy byli jednocześnie szczecińskimi lub wołogowskimi i odwrotnie. Przyznać muszę, że ciągle sprawdzam w źródłach tę kolejność, tym bardziej, że zdarza się - chociaż rzadko - że są błędy nawet w źródłowych przekazach. Dotyczy to zresztą wielu różnic nawet w ilości żon Gryfitów, imion dzieci czy dat urodzin lub śmierci.

Jak już pisałem w pierwszym artykule o Gryfitach (Powiat Słupski nr 9-10 z ubiegłego roku) w zasadzie najbardziej miarodajny jest w mojej ocenie profesor E. Rymar w swoim „Rodowodzie książąt pomorskich” (Wyd. Książnica Pomorska, Szczecin 1999).

Jakkolwiek synowie Bogusława V żyli w czasach równie ciekawych i ważnych jak ich ojciec, przyznać trze-

Opowieść o synach Bogusława V Wielkiego

Warcisław VII zręcznie lawirował między Zakonem a Polską, którzy przewyższali go siłą i bogactwem. Co prawda zmieniał sojusze, ale w owych czasach była to codzienna praktyka władców.



Fragment obrazu Matejki „Bitwa pod Grunwaldem”. Na czarnym koniu, trzymając miecz w prawej dłoni, w hełmie z gryfem szczecińskim – książę szczeciński – Kazimierz V.

ba, że nie mieli jego charyzmy i nie dorosli miary ojca. Ale po kolei.

Warcisław VII

Najstarszy z synów Warcisław VII objął Księstwo Słupskie w 1377 roku zaraz po tragicznej śmierci Każka Słupskiego (umarł od rany zadanej mu przy zdobywaniu zamku w Złotorii koło Torunia). Natychmiast zaczął

czynić starania o odzyskanie lenn polskich po bracie Każku. Była to Bydgoszcz, Wałcz, Inowrocław, Kruszwica i Złotów oraz Ziemia Dobrzyńska. Były to jednak lenna królewskie i z mocy prawa po śmierci Każka wróciły do Królestwa Polskiego, a Król Ludwik Andegweński, ojciec naszej Królowej Jadwigi, nie zamierzał się ich pozbywać.

Wzbudziło to oburzenie Warcisława, jego braci i spowodowało pogorszenie stosunków Księstwa Słupskiego z Królestwem Polskim i jednocześnie zbliżenie Księstwa z Zakonem Krzyżackim. Wspólnie z Zakonem Warcisław rozpoczął walkę z rozbójnikami tzw. Raubritterami (rycerze rabusie), którzy głównie doskwierali Krzyżakom, gdyż to właśnie goście Zakonu byli narażeni na napady, a droga do Malborka wiodła przez ziemię Księstwa Słupskiego. Walka z rabusiami grasującymi na gościach nie była łatwa, gdyż zyskowny, rozbójniczy proceder uprawiały też rody wielmożów pomorskich. Starostowie wielkopolscy otwarcie sprzyjali napadom, a książęta pomorscy częstokroć robili to po cichu. Najbardziej spektakularnym był napad i porwanie Wilhelma, księcia geldryjskiego (Geldria - księstwo na terenie

skopie. Przysięgłem, że będę się starał aby mnogością dat, faktów i nazwisk nie komplikować mojego pisania, ale o niektórych nie sposób nie wspomnieć, aby zrozumieć skomplikowane relacje między Polską, Zakonem i Księstwem Słupskim.

Trzy lata przed napadem na księcia Wilhelma, w 1386 roku, za pożyczkę (czytaj łapówkę) 10.000 grzywien (1 grzywna to 180 g srebra), przyrzeczenie pomocy w zdobyciu ziemi dobrzyńskiej książę Warcisław z bratem Bogusławem VIII (przy czynnej pomocy i gwarancji burmistrzów i rajców Słupska) zawarli w Lęborku antypolski układ z Zakonem. Natomiast jeszcze wcześniej, w 1384 roku Krzyżacy kupili od rodu Wedlów ziemię świnińską z miastem i zamkiem, co zapewniło im pierwszy punkt oparcia na Pomorzu Zachodnim i uzyskanie warownego punktu mogącego czuwać

grzywna). Książęta Świętobór I i Bogusław VII zobowiązali się dostarczyć Zakonowi na wezwanie 100 rycerzy, 100 łuczników i 400 koni (sprawdzałem, czy nie ma pomyłki w ilości koni, ale 200 koni to luzaki).

Król Władysław Jagiełło nie zasypiał jednak gruszek w popiele i zaczął zabiegać o poparcie słupskich książąt. Już w rok po objęciu tronu, Jagiełło zawarł drugiego grudnia 1390 roku potajemny układ w Pyrzycach, na mocy którego Warcisław wraz z braćmi Bogusławem VII i Barnimem V dokonali aktu hołdowniczego, jako wasale króla polskiego. Poza tym przyrzekli nie przepuszczać przez ziemię Księstwa zbrojnych posiłków, idących do państwa zakonnego. Tak o tym pisał profesor Zientara: „Przyjmując przysięgę od pomorskiego wasala, Jagiełło zrobił więcej dla przywrócenia autorytetu Polski na Pomorzu niż Kazimierz Wielki w ciągu swych wieloletnich targów awiniońskich” („Historia Pomorza”, str. 279). Nie do końca zgadzając się z profesorem Zientarą w ocenie działań Kazimierza Wielkiego uważam, że gdyby obie strony wykazały więcej konsekwencji w realizacji aktu pyrzyckiego, związek Pomorza z Polską byłby trwalszy. Ale, jak zawsze, diabeł tkwi w szczegółach. Co prawda, Warcisław otrzymał Nakło jako „zaliczkę” na poczet ziemi bydgoskiej, ale Bydgoszczy nie uzyskał, mimo iż w 1393 roku w Krakowie odnowił swe zobowiązanie i nadal utrudniał gościom Zakonu przejazd przez ziemię słupską. Warcisław zimą 1394 roku został zamordowany, a historycy ciągle się spierają, z czyjego poduszczenia (pewnikiem Krzyżaków).

Do wątku przymierza z Polską i walki z Zakonem wróć przy omawianiu braci Warcisława, a teraz poświęć mu trochę czasu, próbując opisać go jako człowieka i władcę. Historycy różnie go oceniają. Benedykt Zientara pisze o Warcisławie tak: „...pod względem niezrównoważenia przypominający Kaźka, a przewyższający go awanturniczością” („Historia Pomorza”, str. 279).

Łatwo z perspektywy naszych czasów tak oceniać księcia, musimy jednak pamiętać, iż podobnie jak ojciec Bogusław V i brat Kaźko, i chyba prawie wszyscy Gryfici, musiał walczyć z potężnymi wrogami zewnętrznymi, godzić interesy rycerstwa i mieszczaństwa, a i z braćmi było różnie.



obecnej Holandii), który w 1389 roku zdążył do Prus. Jak twierdzą liczni historycy, Warcisław brał udział w tym zdarzeniu, które odbiło się echem we współczesnej północnej Europie i doprowadziło do karnej ekspedycji Krzyżaków na ziemię słupską. Jak więc widzimy, stosunki słupsko-malborskie, zmieniały się jak w kalejdo-

nad drogą pomorską (Benedykt Zientara: „Historia Pomorza”, str. 277). Jak bardzo sprzedajni (a może przedsiębiorczy?) byli pomorscy książęta, świadczy fakt, iż do przymierza lęborskiego ochoczo przyłączyli się książęta szczecińscy, tym razem za 6.000 guldenów (gulden to moneta germańska znacznie wartościowsza niż

Fot. wikipedia.org

Dawał sobie radę z tymi wszystkimi problemami dość dobrze i udało mu się zachować jedność Księstwa, na krótko tylko dzieląc się z braćmi. Zręcznie lawirował między Zakonem a Polską, którzy przewyższali go siłą i bogactwem. Co prawda zmieniał sojusze, ale w owych czasach była to codzienna praktyka władców.

Na rycerskość mogli sobie pozwolić albo potężni władcy, albo pojedynczy rycerze, a nie słabi książęta, którzy musieli wszelkimi sposobami starać się o swoje państewka, rycerstwo i najemników, nie narażając się zbyt wiele mieszczanom, nowej sile na Pomorzu. Wacisław panowanie rozpoczął dobrze, bo od sojuszu - 22 lipca 1377 roku - z cesarzem Karolem IV Luksemburskim, zresztą swoim kuzynem, w Dobrej Nowogardzkiej. Umocniło to władzę młodocianego księcia (miał raptem ok. 16 lat!) i jego braci - około 10-letniego Bogusława i około 8-letniego Barnima.

Wacisław rządził przy pomocy doradców, bo jego matka Adelajda z domu Welf zaraz po śmierci męża Bogusława V udała się na dwór swojej pasierbicy cesarzowej Elżbiety (słynnej słupszczanki, co to łamała podkopy). Nie mogła więc sprawować opieki, a tym bardziej rządzić z odległej od Słupska o 700 km Pragi.

Mówiąc o Wacisławie VII należy również wspomnieć o jego pielgrzymce do Ziemi Świętej, którą odbył w latach 1392 - 1393. Pielgrzymki w tamtych czasach były długie i niebezpieczne oraz bardzo kosztowne. Napiszę o tym szerzej przybliżając słynną pielgrzymkę Bogusława X Wielkiego, ostatniego ze słupskich władców.

Już naprawdę kończąc o Wacisławie VII zaawizuję ciekawy epizod z życia księcia. Otóż niejaki Maciej Bork ze Strzemielnia oraz Ekhard von dem Walde (z Wałdowa w powiecie bytowskim) byli pomysłodawcami i wykonawcami słynnego porwania księcia Waldemara z Geldrii (wspominałem o tym wcześniej) w 1388 roku. To spektakularne porwanie było o tyle ciekawe, że książę podróżował w 300-osobowym orszaku. Porwanie doprowadziło do karnej ekspedycji Krzyżaków na Księstwo Słupskie, bardzo dolegliwej dla mieszkańców, ale udaremniło planowany zbrojny wypad Wilhelma i Zakonu na Litwę.

Maćko Bork był znanym przedstawicielem sławnego rodu pomor-

skiego Borków. O rodzinie tej i jej ciekawych losach pisze dr Łukasz Michalski ze Słupska w ciekawej pracy zamieszczonej w „Historii i Kulturze Ziemi Sławińskiej” (str. 143 i następne, Wydawnictwo „Region”, Gdynia 2005).

Bogusław VIII i Barnim V

Nie byli oni postaciami tak znaczącymi jak Bogusław V i Wacisław VII, ale odegrali swoją rolę w dziejach Księstwa Słupskiego. Bogusław VIII, młodszy o około pięć lat od Wacisława rozpoczął współrządzenie z bratem w roku 1386, będąc już zresztą biskupem Kamieńskim. Przebywał głównie w Kamieniu, ale w roku 1387 biskupem został Jan Brunno, popierany przez króla czeskiego Wacława IV. Bogusław musiał zadowolić się świeckim administratorem dóbr biskupich. Po dwóch latach, w roku 1389 książę wrócił do Słupska i współrządził Księstwem do śmierci brata w 1394 roku, a potem już samodzielnie do 1418 roku, choć do 1402 Barnim „pomagał” mu w rządach.

Bogusław ożenił się z Zofią, córką hrabiego Holsztynna Henryka Żelaznego około roku 1398. Zofia, według niektórych niemieckich kronikarzy, dożyła 90 lat, co było w średniowieczu wręcz nieprawdopodobnym wiekiem. Dla słupszczan ciekawą informacją jest, iż Zofia po śmierci Bogusława VIII w roku 1418 sprawowała rządy opiekuńcze wraz z radą fendałów i burmistrzów Słupska nad małoletnim Bogusławem IX. Świadczy to o roli i znaczeniu naszego miasta.

Wróćmy jednak do Bogusława VIII. Po śmierci ojca rządzić musiał w trudnej sytuacji wewnątrz Księstwa i na zewnątrz. Brat Barnim domagał się dla siebie osobnego nadania, a na wschodzie narastał konflikt Krzyżaków - Polski.

Brat Barnim od 1396 roku był mężem Jadwigi, bratanicy Wielkiego Księcia Litwy Witolda i tym samym król Polski Jagiełło był jego powinowatym. Na dodatek Barnim nie tylko że zawarł ślub z Jadwigą, ale zrobił to w Krakowie z okazji jubileuszu 10-lecia sojuszu Polski z Litwą. Gdy do tego dodamy, że 7 maja 1401 roku Barnim przeszedł na służbę Jagiełły, jasnym się staje, że Bogusław zmuszony był podzielić się z nim Księstwem. I tak Barnim otrzymał we władanie Słupsk, Sławno, Darłowo i Szczecinek. Nie cieszył się jednak długo

swoją domeną, bo już po roku zmarł. Tak więc po bardzo krótkim podziale Księstwo Słupskie nadal było w ręku Bogusława VIII. Niejasna była sytuacja zagraniczna. Bogusław lawirował między dwoma potęgami. Za Nakło pobierał od Jagiełły rentę pieniężną. Od Zakonu zaś książę brał pieniądze kilkakrotnie, a nawet w sierpniu 1409 roku w Szczecinku przyrzekł wręcz z księciem szczecińskim Świętoborem przyjść na pomoc Zakonowi z całą swą siłą w razie walki z Polską. Na szczęście tak się nie stało, Bogusław przygotował wszystkie swoje siły i... oczekiwał, kto wygra.

Po grunwaldzkiej wiktoryi Jagiełły opowiedział się po stronie zwycięskiego króla i zajmował zamki oraz miasta będące w rękach Krzyżaków. W sierpniu 1410 roku zjawiał się w obozie Jagiełły pod Malborkiem i złożył mu hołd. W zamian (lub za to, że opuścił Krzyżaków) otrzymał w lenno Bytów, Lębork, Człuchów, Biały Bór, Czarne (wtedy Hemersztyn), Debrzno (wówczas Frydland) i Świdwin wraz z okolicznymi ziemiami. Otrzymał te wszystkie lenna na krótki czas, bo już w roku 1411 na mocy pokoju toruńskiego ziemie te wróciły do Zakonu. Dopiero po 55 latach, na mocy drugiego pokoju toruńskiego w 1466 roku, ziemie te na ponad 200 lat powróciły do Księstwa Słupskiego. Po 1478 roku były oczywiście w granicach zjednoczonego przez Bogusława X Wielkiego Pomorza Zachodniego (Szczecińskiego).

W tym miejscu chciałbym wyjaśnić kwestię udziału Pomorzan w bitwie grunwaldzkiej. Po stronie Krzyżaków udział w walce wziął Kazimierz V Szczeciński, który wykonał zobowiązanie swego ojca Świętobora i przywiódł na grunwaldzkie błonia 600 rycerzy (z tylomaż kopiami), a więc byli to ciężkozbrojni rycerze. O zgrozo! Tenże książę Kazimierz V Szczeciński (nie mylić z naszym Kazimierzem IV, Kaźkiem Słupskim) wraz z Urlykiem von Jungingen Wielkim Mistrzem Zakonu wysłał rano 15 lipca 1410 roku owe dwa miecze wzywające Polaków do boju. Ale wieczorem był już w polskiej niewoli, a na jutro uczcił ze zwycięzcami na polu bitwy (powtarzam za S. M. Kuczyńskim „Wielka Wojna z Zakonem Krzyżackim w latach 1409 - 1411”, wyd. Warszawa 1960, str. 342, 367 i następne).

Maciej Kobylński, Słupsk

Gdy kupimy samochód z wadami

Jeśli chcemy skorzystać z przysługującego nam uprawnienia do odstąpienia od umowy lub obniżenia ceny, to najlepszą formą będzie wysłanie odpowiedniego oświadczenia z zastrzeżeniem, że będzie ono skuteczne, jeśli sprzedawca np. w terminie 14 dni (tj. niezwłocznie) nie usunie wad lub też nie wymieni rzeczy na wolną od wad.

niebędącego konsumentem. Nasze uprawnienia w każdym z trzech opisanych przypadków określają zapisy art. 556 Kodeksu cywilnego, dotyczące rękojmi.

Roszczenia kupującego niebędącego konsumentem

Jeśli do naszej sytuacji mają zastosowanie przepisy dotyczące kupującego niebędącego konsumentem, w pierwszej kolejności należy ustalić, czy w umowie nie wyłączono uprawnień kupującego z tytułu rękojmi. Jednak nawet gdyby wyłączenie takie nastąpiło, to możemy dowodzić, że sprzedawca zataił wadę. Zatajenie może sprowadzać się do zaniechania, tj. niepoinformowania kupującego o istotnych okolicznościach, o których sprzedawca wiedział.

Ustawa z 23 kwietnia 1964 r. Kodeks cywilny reguluje powyższe kwestie: art. 558 § 1 mówi, że strony mogą odpowiedzialność z tytułu rękojmi rozszerzyć, ograniczyć lub wyłączyć. Jednakże w umowach z udziałem konsumentów ograniczenie lub wyłączenie odpowiedzialności z tytułu rękojmi jest dopuszczalne tylko w wypadkach określonych w przepisach szczególnych.

W paragrafie drugim tego samego artykułu czytamy, że wyłączenie lub ograniczenie odpowiedzialności z tytułu rękojmi jest bezskuteczne, je-



W przypadku kupna samochodu z wadami bardzo istotne jest jak najszybsze podjęcie odpowiednich kroków prawnych. Poniżej opisuję niezbędne czynności, które pozwolą nam skutecznie dochodzić swoich praw. W pierwszej kolejności konieczna będzie ocena stanu prawnego oraz skompletowanie niezbędnych dowodów. W oparciu o te informacje, możliwe będzie dobranie odpowiednich środków prawnych.

Ocena stanu prawnego

Należy ustalić jakie przepisy będą miały zastosowanie do naszej sprawy. Strony transakcji (gdzie „(K)” to kupujący, a „(S)” to sprzedawca) mogą być następujące: konsument (K) - przedsiębiorca (S), przedsiębiorca (K) - przedsiębiorca (S), osoba fizyczna niebędąca przedsiębiorcą (K) - osoba fizyczna niebędąca przedsiębiorcą (S).

Sytuacja pierwsza będzie miała miejsce przede wszystkim, gdy kupimy samochód od komisju lub w salonie, a zakup nie został dokonany na potrzeby prowadzonej przez nas działalności gospodarczej. Sytuacja trzecia to klasyczna transakcja pomiędzy dwiema osobami nieprowadzącymi działalności gospodarczej. Niestety, ma również miejsce często, gdy komis samochodowy chce uniknąć odpowiedzialności z tytułu rękojmi i podsuwa do podpisania umowę podpisaną in blanco przez właściciela samochodu, którym jest osoba fizyczna nieprowadząca działalności gospodarczej. Należy więc dokładnie zbadać, kto jest stroną umowy, gdyż takie działanie komisju może utrudnić dochodzenie ewentualnych roszczeń.

W sytuacji pierwszej mamy status konsumenta. W sytuacji drugiej i trzeciej mamy status kupującego

żeli sprzedawca zataił podstępnie wadę przed kupującym.

Jeśli uprawnienia z tytułu rękojmi nie zostały wyłączone lub też ich wyłączenie jest bezskuteczne (art. 558 § 2 k.c.) kupujący może od razu albo odstąpić od umowy, albo żądać obniżenia ceny. Sprzedawca ma możliwość niezwłocznego usunięcia wad lub wymiany rzeczy i „anulowania” w ten sposób otrzymanego odstąpienia lub też oświadczenia o obniżeniu ceny.

Ustawa z 23 kwietnia 1964 r. Kodeks cywilny reguluje także pozostałe kwestie. W art. 560, paragrafie pierwszym zapisano, że jeżeli rzecz sprzedana ma wadę, kupujący może złożyć oświadczenie o obniżeniu ceny albo odstąpieniu od umowy, chyba że sprzedawca niezwłocznie i bez nadmiernych niedogodności dla kupującego wymieni rzecz wadliwą na wolną od wad albo wadę usunie. Ograniczenie to nie ma zastosowania, jeżeli rzecz była już wymieniona lub naprawiana przez sprzedawcę albo sprzedawca nie uczynił zadość obowiązкови wymiany rzeczy na wolną od wad lub usunięcia wady.

Paragraf drugi tego artykułu mówi, że jeżeli kupującym jest konsument, może zamiast zaproponowanego przez sprzedawcę usunięcia wady żądać wymiany rzeczy na wolną od wad albo zamiast wymiany rzeczy żądać usunięcia wady, chyba że doprowadzenie rzeczy do zgodności z umową w sposób wybrany przez kupującego jest niemożliwe albo wymagałoby nadmiernych kosztów w porównaniu ze sposobem proponowanym przez sprzedawcę. Przy ocenie nadmierności kosztów uwzględnia się wartość rzeczy wolnej od wad, rodzaj i znaczenie stwierdzonej wady, a także bierze się pod uwagę niedogodności, na jakie narażałby kupującego inny sposób zaspokojenia.

Paragraf trzeci stanowi, iż obniżona cena powinna pozostawać w takiej proporcji do ceny wynikającej z umowy, w jakiej wartość rzeczy z wadą pozostaje do wartości rzeczy bez wady. A paragraf czwarty, że kupujący nie może odstąpić od umowy, jeżeli wada jest nieistotna.

Jeśli więc chcemy skorzystać z przysługującego nam uprawnienia do odstąpienia od umowy lub obniżenia ceny, to najlepszą formą będzie wysłanie odpowiedniego oświadczenia z zastrzeżeniem, że będzie ono skuteczne, jeśli sprzedawca, np. w terminie 14

dni (tj. niezwłocznie) nie usunie wad lub też nie wymieni rzeczy na wolną od wad.

Należy pamiętać, że odrębną kwestią jest zawiadomienie sprzedawcy o wadzie, a odrębną wysłanie oświadczenia o obniżeniu ceny lub o odstąpieniu od umowy i żądaniu zwrotu ceny pojazdu. Jeśli nie chcemy precyzować od razu naszego roszczenia, na początku wystarczy wysłanie pisma z zawiadomieniem o wadzie. Przepisy nie precyzują terminu na zawiadomienie sprzedawcy o wadzie, jednak dla celów dowodowych, najlepiej zrobić to niezwłocznie po wykryciu wady. Oczywiście, nic nie stoi na przeszkodzie wysłaniu jednego pisma, w którym zarówno informujemy o wadzie pojazdu, jak i określamy nasze roszczenie.

Roszczenia konsumenta

W przypadku realizacji roszczeń przez konsumenta, wyglądają one podobnie jak opisane wyżej roszczenia podnoszone przez pozostałych kupujących. Konsument dysponuje natomiast następującymi, dodatkowymi udogodnieniami: obok odstąpienia od umowy lub obniżenia ceny może też żądać naprawy lub wymiany pojazdu (art. 560 § 2 k.c.); w przypadku nieustosunkowania się do roszczenia przez przedsiębiorcę w terminie 14 dni od daty otrzymania go, zachodzi domniemanie uznania roszczenia konsumenta za uzasadnione (art. 561[5] k.c.); jeśli wada została stwierdzona w okresie roku od dnia wydania pojazdu kupującemu, zachodzi domniemanie niezgodności towaru z umową (art. 556[2] k.c.); brak jest możliwości wyłączenia lub ograniczenia uprawnień kupującego z tytułu rękojmi (art. 558 § 1 k.c.); są dłuższe terminy przedawnienia niektórych roszczeń (art. 568 § 2 k.c.).

Trzeba stanowczo podkreślić, że uprawnień konsumenta nie można wyłączyć (w przeciwieństwie do uprawnień kupujących niebędących konsumentami). Wszelkie postanowienia o niewnoszeniu roszczeń przez kupującego, umieszczane przez sprzedawców na fakturach lub umowach są nieważne jako klauzule niedozwolone. Roszczenia z tytułu rękojmi, konsument może podnosić w terminie 2 lat od daty wydania towaru, natomiast przy rzeczach używanych strony mogą w umowie skrócić ten termin do roku.

Terminy

W efekcie nowelizacji przepisów dotyczących rękojmi, usunięto wymóg zawiadomienia sprzedawcy o wadzie w określonym terminie od momentu powzięcia wiedzy o wadzie. Jedynie kupujący będący przedsiębiorcami powinni zawiadomić sprzedawcę o wadzie niezwłocznie po powzięciu wiedzy o niej (art. 563 § 1 k.c.).

Pozostawiono natomiast (z modyfikacjami) terminy na dochodzenie roszczeń (odstąpienie, obniżenie ceny, naprawa lub wymiana), które mogą być sformułowane wraz z zawiadomieniem sprzedawcy o wadzie lub też dopiero po zawiadomieniu o wadzie. Bliższe omówienie terminów na dochodzenie roszczeń z tytułu rękojmi zawiera ten artykuł.

Środki dowodowe

Najczęściej sprzedawca będzie kwestionował swoją odpowiedzialność lub grał na zwłokę. Dochodzenie od niego roszczeń, nie uniemożliwia korzystania z wadliwego pojazdu. Należy jednak dokumentować wszelkie naprawy i poniesione koszty (faktury, paragony, oświadczenia i dane mechaników), tak aby możliwe było ich późniejsze dochodzenie od sprzedawcy. Wszelki kontakt ze sprzedawcą powinien odbywać się w formie przesylek listowych (poleconych lub poleconych za zwrotnym potwierdzeniem odbioru), przy zachowaniu kopii wysyłanych pism. Rozmowy powinny być nagrywane lub powinny odbywać się przy udziale świadków.

Dochodzenie roszczeń

Forma dochodzenia roszczeń może być różna. Możliwe jest skierowanie do sądu pozwu lub zawezwania do próby ugodowej. Jeśli kupujący decyduje się na wniesienie powództwa, przygotowanie pozwu powinien zlecić prawnikowi, ponieważ każdy stan faktyczny umożliwia dobranie innych środków prawnych i zastosowanie innych przepisów. Przykładowo w przypadku braku środków do prowadzenia sprawy możliwe jest skorzystanie ze zwolnienia od kosztów sądowych albo wytoczenie powództwa jedynie o część roszczenia. Z tej drugiej opcji może skorzystać osoba, która nie będzie mogła skorzystać ze zwolnienia od kosztów.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik Konsumentów



FERIE WIEJSKICH DZIECI

POWIAT SŁUPSKI, LUTY 2018



